

Aleksander Pietrzak

Archiwum Uschodnie 61



Nazywam się Aleksander Pietrzak, ur.01.06.1924 r. w Lublinie; ojciec Antoni, matka Aleksandra. Całą swoją młodość spędziłem w Lublinie. Uczyłem się w szkole podstawowej nr 2, a następnie w Gimnazjum im.Vetterów.

W czasie przygotowań do wojny 1939r. jako harcerz 3 Lubelskiej Drużyny Harcerskiej przy moim gimnazjum zostałem powołany do służby obrony przeciwlotniczej. Pełniłem służbę gońca przy stacji pomp wodociągowych na Wrotkowie. Kiedy Niemcy weszli do naszego miasta, pierwszą pracą, jaką podjęliśmy z własnej inicjatywy, było przebieganie żołnierzy polskich w cywilne ubrania, które otrzymaliśmy od sąsiadów i znajomych. Nosiliśmy te ubrania na teren obozu jenieckiego, który mieścił się w fabryce samolotów /LWS/. W skład tej grupy wchodził chłopcy z Dziesiątej - harcerze. W grudniu 39r. wstąpiłem do organizacji Komendy Obrońców Polski. Przysięgę złożyłem przed komendantem miasta, p.Piotrem Bytysiem /ps.Jerzy Mirski/, i przeszedłem po raz pierwszy szkolenie sabotażowe i wywiadowcze, które prowadził m.in. właśnie p. Bytys. Byłem kolporterem prasy podziemnej; przenosiliśmy pisemko "Polska żyje!" i tzw. "Komunikaty" - były to ręcznie przez kalkę przepisywane wiadomości z zachodnich radiostacji. Odbierałem je na ul.Długiej nr 1 po jakieś 20-50 egz. Po śmierci Bytysa /aresztowany przez Gestapo/ zerwały się pewne kontakty, ale już wiosną 40r. nawiązałem kontakt z Szarymi Szeregami. Wówczas nawet nie wiedziałem, jak organizacja ta się nazywa; mówiło się, że to organizacja byłych harcerzy. W sierpniu 41 r. złożyłem po raz drugi przysięgę, ale już przed dowódcą rejonu ZWZ w Lublinie, Kazimierzem Błońskim /ps.Sęp, później zmienił ps.na Czarny/. Tu już miałem stały kontakt, uczestniczyłem w zebraniach, odprawach i wykonywałem zleczone zadania. W październiku 43 poprzez swojego kolegę, Stefana Obarę /ps.Wicek/, nawiązałem kontakt z organizującym się wówczas plutonem Kierownictwa Walki Podziemnej na terenie Lublina. Zameldowałem o tym

„Czarnemu”i uzyskałem oficjalne przeniesienie do tego plutonu. Koordynowałem działania w tych czasach, a były to czasy licznych aresztowań, przesunięć organizacyjnych; mój kolega z gimnazjum, Jerzy Różański /ps. Jur/, p.o. zastępca dowódcy tego plutonu, Tadeusza Pośpiecha /ps. „Karol” a następnie „Brzechwa”/ późniejszym dowódcą plutonu był Tadeusz Dżugaj - ps. „Korczak”/. Z tym plutonem brałem udział w szkoleniu oraz akcjach, m.in. ubezpieczaliśmy zebranie Okręgu /o czym nawet nie wiedzieliśmy/, w nieudanej akcji w marcu 44r. pod Kalinówką /goniec hitlerowski, który miał przewozić motocyklem tajne dokumenty dla Gestapo, drogą z Piask, nie nadjechał/, w końcu kwietnia lub na początku maja 1944r. brałem udział w akcji zlikwidowania Reichsdeutsche, niejakiego Falkowskiego, który był kierownikiem arbeitsantu w Opolu Lubelskim - znałem go, bo mieszkał niedaleko moich rodziców; został zastrzelony na Dziesiątej przez kolegę Ryszarda Bieleckiego /ps. „Jastrząb”/, w akcji tej brał też udział Czesiek Rusin /ps. „Rekin”/. Ten ostatni został później aresztowany przez Gestapo - z tego powodu wszyscy musieliśmy wycofać się z Lublina.

W maju 44r. nastąpiła wsypa - pluton został zdradzony. Gestapo znało już wszystkie nasze adresy, nazwiska. Prawie wszyscy zdążyli uciec. Zostali aresztowani; Jan Furmanek /ps. Ali/, Zbigniew Różański /ps. „Dyńia”/, „Rekin” - Czesiek Rusin. Wiem, że bardzo cierpiała rodzina Jurka Różańskiego, kolegi Tadeusza Łalki ps. „Biały”; wielu naszych rodziców było aresztowanych, ale jakoś dotrwali do wyzwolenia.

Część nas została skierowana do oddziału Kierownictwa Walki Podziemnej na terenie ówczesnego powiatu lubartowskiego; dowódcą oddziału był Tadeusz Pośpiech ps. „Brzechwa”. Inni poszli w całkowicie innym kierunku, m.in. ja zostałem skierowany do oddziału „Małego”. /Kpt. Stanisław Łokuciewski/.



Właśnie w tym oddziale miała być szkoła podchorążych, do której i ja byłem kandydatem. Niestety nie dotarłem do oddziału, ponieważ w Dębinie, gdzie miałem ich spotkać, nikogo nie zastałem. Dowódca tej placówki, "Rola", skontaktował mnie z por. Bronisławem Węglińskim /ps. "Karaś"/, który był szefem szkolenia w BCH części powiatu krasnostawskiego. Wziął mnie pod swoją opiekę. Organizował właśnie szkołę młodszych d-ców, której komendantem był podch. "Wysocki" w rejonie miejscowości Baraki. Był to okres łączenia się oddziałów, placówek AK i BCH. To był początek czerwca... I tam zastało mnie tzw. Wyzwolenie.

Gdy wkroczyła armia radziecka i wyzwoliła Lublin, postanowiłem się tam dostać, a miałem do przejścia ok. 30 km. Szedłem cały dzień. Chodziłem, oglądałem Lublin, pytałem kto przeżył. Spotkałem kolegów ze szkoły; Stefana Małka i Zubka Kamełę. Pytam się dokąd idą?. Odpowiadają, że idą zapisać się na ochotnika do wojska. No to idę z wami - odparłem. Ochotników zapisywali przy dawnej szkole ćwiczeń, tzw. "ćwiczeniówki" przy dzisiejszym Placu Wolności. Na dużym placu pod drzewami stały rozstawione stoły, za nimi berlingowcy, podoficerowie i oficerowie. Zameldowałem się. Pytają, czy należałem do jakiejś organizacji. No tak - mówię - należałem. Do jakiej?. Do AK, a ostatnio nawet z BCH miałem do czynienia... Zacząłem tłumaczyć... Jeden z podoficerów na mnie kiwa i kiwa, ale ja nic nie rozumiem. Bo i wtedy nic nie wiedziałem jeszcze, co się dzieje. Przecież to było raptem trzy dni kiedy wróciłem do Lublina... Wreszcie podszedł jakiś porucznik w polskim mundurze - trochę umiał po polsku, ale za to umiał wspaniale mówić po rosyjsku i zaczął się ze mną dogadywać - a gdzie mieszkam? a gdzie to? a gdzie tamto?... No to idźcie - mówi - teraz do domu, po co macie siedzieć na Majdanku /tam był punkt zborny ochotników/. Poszedłem.

Rano 20 sierpnia ktoś mnie budzi. Patrząc, a nade mną stoi dwóch

żołnierzy sowieckich, potem dowiedziałem się że było ich czterech, wszystko NKWD. Jeden mówi - Aleksander ? Aleksander. Specjalnie nie znałem rosyjskiego, tylko kilka słów. Przychodzi matka /dobrze znała rosyjski/ i mówi - Słuchaj, oni cię chcą wziąć do wojska. Ja na to, że wczoraj powiedzieli mi, że mogę spać w domu. Dobra, dobra - mówi ten sam - my cię teraz weźmiemy będziesz w wojsku oficerem. Matka do nich - No to chodźcie panowie, śniadanie jakieś zjecie. Siedzimy tak przy stole. Trochę jedzą. I tu nastąpił taki moment. Jeden z nich nieźle mówił po polsku. I mówi - O ten był u was w kraju i walczył w waszej partyzantce. A on, jak nalewał sobie herbatę, to nie pił ze szklanki, ale nalewał sobie do spodeczka i z niego dopiero siorpał. No to ja na to - Oj, on to chyba w Polsce nie był. A po czemu tak dumasz ? - tamten pyta. Bo u nas tak się herbaty nie pije. Jakby był w Polsce - mówię dalej - to by się nauczył, jak się pije u nas herbatę. O, ty, umnyj - mówi Ruski do mnie - chytry jesteś ... No, pójdziemy w armiu.

No i dobrze - idziemy ... Nic nie kazali zabrać: ani ciepłego ubrania ani jedzenia. Nic nawet o tym nie mówili, tylko żeby szybko iść... Ale coś już mnie tknęło. I myślę sobie, że nie będę brał ze sobą dokumentów i mrugnąłem na matkę i włożyłem je pod obrus. A tak się złożyło nieszczęśliwie, że miałem przy sobie i lewą kenkartę na nazwisko Jasiński, którą mi wyróbiono w Zakrzewie i drugą na swoje prawdziwe nazwisko. No więc to wszystko włożyłem pod obrus... Myślę sobie, że może trzeba będzie uciekać, to niech te dowody tu zostaną lepiej.

No i tak prowadzą mnie pieszo - a za mną matka, która cały czas śledziła. Z Dziesiątej aż na Szopena pod 7, tam kiedyś mieściła się Schutzpolizei. Wsadzili mnie do łazienki. Siedziałem sobie na wannie, potem wlażłem w tę wannę... Tak przez cały dzień ...

I tak do końca nie wiedziałem, o co chodzi, bo przedtem nic do



mnie nie dotarło, co się dzieje; tak jakoś niefortunnie się złożyło. Były to takie chwile, w tej gorączce. Część moich przyjaciół nie dotarła do Lublina... A człowiek nie wiedział... Ostatecznie dużo dobrego się robiło. Bo jak jeńcy radzieccy budowali Majdanek, to przecież człowiek z narażeniem życia dostarczał im żywność. Wszyscy mieszkańcy Dziesiątej w takiej czy innej formie to robili. Jak ich Niemcy przypędzili, to ci jeńcy mieszkali po prostu na polu. To nawet rzucony burak cukrowy dużo im dawał. Przecież strach było patrzeć, co Niemcy z nimi wyprawiali! Poza tym w czasie okupacji przechowywaliśmy takich, jakichś ludzi, których nikt nie pytał, jakie mają zadanie, co mają robić, skąd są - po prostu akcent ich gubił... Wiem, bo przecież sam załatwiałem różne takie sprawy łącznikowe. Bo człowiek robił wszystko dla tego wspólnego zwycięstwa. Nie miałem zielonego pojęcia, że to wszystko tak się skończy... Ale pierwsze takie uczucie...no, odezwał się we mnie wyrobiony w czasie okupacji znak zapytania, gdy po mnie przyszli. Nie bardzo podobało mi się to ich zachowanie - obstawili tu i tu, na podwórku stał jeden, i ten z tym siorpaniem herbaty... Wiedziałem, że coś tu nie tak. Ale co? tego nie wiedziałem. No przecież przyjaciele, przyszli, oswobodzili. Nie można ich było przecież porównywać z gestapowcami - i dlatego nie uciekałem.

Dopiero w tej łazience oczy mi się otworzyły. Bo gdy tak sobie siedzę, patrzę - napisy. Jeden pseudonim, drugi pseudonim, "zabrali mnie". I tak sobie myślę, że tu nic nie trzeba robić, tylko nawiewać. Okna z tej łazienki wychodziły na budynek - Ubezpieczalni Społecznej. Wyglądam - na dole jeden, drugi, stoją na posterunku. Przychodzi ruski żołnierz - Jak chcesz jeść, to dawaj diengi, ja coś ci kupię. Dałem mu 20 złotych, a wtedy to nie była taka mała suma, parówka kosztowała chyba ze 2 złote. Przyniósł mi jedną parówkę. Zjadłem jej pół, drugie pół - myślę - trzeba zostawić na wieczór.

I siedzę tak do nocy. Przychodzą, zabierają mnie, na Szopena pod 18 /później tam było UB/. Prowadzą na 2 czy 3 piętro w oficynie. Na każdym piętrze i półpiętrze stoją bojcy z pistoletami maszynowymi; więcej ich niż w niemieckich urzędach... Tam dopiero zobaczyłem, jakie bractwo siedzi ! ... I teraz dopiero kapnąłem się, czemu w Lublinie nie ma tylu chłopaków z partyzantki. Bo bractwo już siedziało ...

Witamy się, pseudonimy... Zgarnęli ich różnie; z lasu, z domów... Zresztą rozmowy były jakieś takie chaotyczne, nie bardzo pamiętam... Jeden kolega, Broniek Wyźlic, ps."Lew", takie szczęście w nieszczęściu, przyszedł z plecakiem, z dużymi zapasami żywności, z ubraniem /skarpetki,bielizna/, bo szedł do wojska i go rodzina wyprawiała. Więc mieliśmy na dłuższy czas trochę jedzenia. Nawet potem, kiedy go spotkałem w Charkowie, miał jeszcze słoik miodu - a to był majątek ! Zawsze się z Brońcia naśmiewaliśmy, że jest chłopak przedsiębiorczy.

Tej samej nocy wzięli mnie na badania. Siadaj ! Siadam. Ponimajesz po ruski ? Nie ponimaju. Wtedy coś brzydko do mnie powiedział. Po rusku i po polsku jednakowo, więc ja do niego - A ty chuj ponimajesz ? A ten jak mnie trzasnął w zęby, to aż zleciałem z krzesła ! - ja na to - to wy tacy jesteście przyjaciele ? A ten do mnie. I w tym momencie wszedł jakiś cywil, chyba oficer, elegancko ubrany; pamiętam jak dzisiaj: w kremowej koszuli, z krawatem. Coś tam ostro rozmawiali, nie wiem co, bo nie rozumiałem jeszcze wtedy po rosyjsku. W każdym bądź razie cywil wyszedł, a między nami nastąpiło jakby pewne porozumienie. Ja będę mówił do ciebie po rosyjsku - Ruski do mnie - a ty będziesz odpowiadał mnie po polsku. Zgoda - odparłem i tak pozostało. Później jeszcze na mnie krzyczał - A ty nie wiesz, gdzie jesteś!?. Wiem, u sojuszników. Nie ! ty jesteś w NKWD !, i pamiętaj o tym ! Co to jest NKWD ? - pytam; może i słyszałem wtedy, co to jest, ale tak jakoś się spytałem. Może byłem pod wrażeniem



tego uderzenia... Taki trochę szok ... Może nie tyle byłem wystraszony, co szalenie zdumiony. Gdyby Niemcy tak mnie potraktowali... O, to co innego, bo człowiek wiedział, że Niemcy to wróg, i kiedy miał z nimi kontakt, to od razu psychicznie się nastawiał. A tu co innego ... Człowiek był rozradowany, że przetrwał, a tu nagle te przygody.

Druga scysja nastąpiła zaraz, w czasie tego samego badania. Imię matki ? I w końcu pyta Otcziestwo ? Ja mówię - Nie wiem, co to jest otcziestwo. Znowu się zdenerwował, skakał, ale jakoś mnie nie uderzył. Ale wrzeszczy - Otcziestwo !? No, jak tam u was?! No, ojciec jak ojciec ma na imię ? A - odpowiadam - mój ojciec, Antoni. No widzisz - on na to - wiesz, a nie chcesz mówić, ty mi specjalnie robisz na złość. Potem imię dziadka, imię babki, chyba tak do trzeciego pokolenia. A ja przecież nie znałem ich nazwisk, bo to nam nigdy nie było potrzebne, skoro człowiek znał datę urodzenia, imię matki, ojca - starczało.

I tak te badania trwały, tylko nocami.

W czasie dyskusji... Pamiętam, był taki oficer, kapitan z AK, ps. "Borówka" /<sup>Trochę kilowat</sup> ~~nazwiska nie pamiętam~~/, który mówił, że powinniśmy zeznawać wszystko jak walczyliśmy, ale dodał - Nie należy operować nazwiskami kolegów, bo po co mają z nimi robić to co z nami.

Koszmarna wszawica! Ach, jak je biliśmy ! Bo to chłopaki przychodzili prosto z lasu, różnie. A była nas pełna oficyna, od piwnicy do kilku pięter.

Po kilku dniach - nocami kilkakrotnie przesłuchiwany - dostałem wysokiej gorączki. Przyszła radziecka sanitariuszka, zmierzyła mi gorączkę - miałem ponad 39 stopni i potworną biegunkę; później się okazało, że zachorowałem na czerwonkę. Tego samego dnia wsadzili mnie w samochód i zawieźli na ul. Świętoduską /dzisiaj Hanka Sawickiej/. Eskortowało mnie 3 żołnierzy, odnosili się do mnie całkiem

grzecznie. Zajechaliśmy przed budynek, w którym dawniej było więzienie wojskowe, wprowadzili mnie do pojedynczej małej celi. Jakiś oficer z konwoju mówi - Słuchaj, ten żołnierz będzie cię tutaj pilnował, tylko ciebie. Był to taki koło 50-tki zwykły żołnierz, z pepeszą. W celi prycza, zbudowana z poprzecznych, wypukłych desek, pewnie z jakiejś beczki. Ani siennika, ani koca, ani poduszki. Zrobili mi taką kwarantannę ... Później się okazało, że wsadzili mnie tylko po to, żebym innych nie zaraził i umarł tam w spokoju.

Przyszła pierwsza noc. Wysoka gorączka, biegunka... Nic nie mogłem zrobić ... Ledwo zdjąłem buty - takie były ciężkie, że ich podnieść nie mogłem. Położyłem je sobie pod głowę, a z pryczy wyjąłem dwie deszczuki, i tam ze mnie leciało, a ja nawet nie mogłem wstać. Leżałem tak ze dwie doby. Od czasu do czasu przychodził tylko ten "mój" żołnierz, ale ani picia, ani jedzenia, nawet wody mi nie dali. Zresztą nawet go o to nie prosiłem; było mi - jak to się mówi - już wszystko jedno. Na trzeci lub czwarty dzień słyszę swoje nazwisko - że paczkę mi przyniesiono... Dopiero później się dowiedziałem, że komendant tego więzienia /sowiec, ale w polskim mundurze chodził; taki czarny, może jakiś Tatar albo inny kałmyk - samo jego spojrzenie było już straszne/ miał kochankę Polkę, chyba z Wołynia. Była to młoda dziewczyna, ze 17 lat, ale dobrze zbudowana, choć niewysoka, w mundurze berlingowskim.

No i ta dziewczyna roznosi te paczki, daje i mnie. Zwykła szara torba, dwa surowe ogórki, trzy surowe jajka i cebula, a na torbie napisane moje nazwisko. Nawet wstać nie mogłem, nie miałem siły. Podziękowałem jej, tak na odległość, bo ona nie mogła wejść - cała cela była w nieczystościach - z daleka podała mi paczkę. Pytam się, od kogo. Od matki. To nie jest paczka ode mnie z domu - mówię. Zrobiła się wtedy czerwona jak burak, a ja dowiedziałem się



później, że to właśnie ona mi tę paczkę skombinowała; zrobiło jej się po prostu mnie żal...

Już zacząłem odczuwać lekki głód, a leżałem przecież tak dwie - trzy doby; żadnego lekarza, nikogo, majaczyłem... Wszedł wreszcie ten żołnierz i pyta, skąd mam paczkę. A ja na to, że tu jest moje nazwisko, że przynieśli. Skąd wiedzieli, że ty się tak nazywasz i że tu jesteś? Tak pytał, a potem sam mi powiedział, że moje nazwisko poznała ta dziewczyna od niego samego... Diengi masz? - pyta. To daj. Po drugiej stronie ulicy był duży targ. Kupił mi białego pieczywa, coś tam jeszcze, przyniósł do celi i mówi - Jak jutro będziesz dobrze się czuł /tak powiedział, bo nie chciał powiedzieć, że jeśli nie wygarnę!/, to ja celę otworzę i sobie tu posprzątasz.

Ogórków przez zdrowy rozum nie zjadłem, ale chyba po raz pierwszy w życiu wypilem surowe jajko. Poszło jakoś szczęśliwie. Dwa sobie schowałem. I udało mi się przetrwać do następnego dnia. Na śniadanie wypilem znów jajko. Trochę wreszcie wstałem...

Żołnierz otworzył mi celę, wyszedłem na podwórze. Na śmietniku znalazłem starą puszkę, przyniosłem w niej wody i zacząłem myć celę. Padałem nosem w te nieczystości, ale jakoś, choć nikt mi nie pomógł, udało mi się wysprzątać.

Na korytarzu spotkałem tę dziewczynę, rozejzawszy się, zaczęła ze mną rozmawiać - Pan przejdzie do innej celi, bo w tych małych tutaj będą robić pokoje do przesłuchań, dla śledczych... A ten żołnierz to bardzo panu współczuje. I dodała - Wie pan, ja się na tym wszystkim nie znam. Dziękuję pani serdecznie - mówię - że pani była tak uprzejma. Niech pan postara się o jakąś puszkę - mówi dalej - to ja powiem Niemcom... Jakim Niemcom? - pytam zdziwiony. Tu kuchnię - odpowiada - prowadzą Niemcy, a do tej pory bali się do pana wstępować, bo cały czas pilnuje pana ten żołnierz. Tak szybko do mnie mó-

wiła, trochę chaotycznie, żeby nikt nie słyszał. Jak jeszcze panu pomóc ? Do domu ... - mówię. Nie, proszę pana, ja nie mogę. Pan sobie nie wyobraża, co ja bym tu za to miała ! Chciałem po prostu wysłać do domu jakiś gryps, coś by mi wtedy przysłali ...

Znalazłem starą puszkę po konserwie, idę korytarzem do kuchni. Patrząc... na posterunku stoi mój kolega, chodziliśmy razem do szkoły zawodowej w czasie okupacji. Stoi w ubraniu cywilnym /później okazało się, że był w AL/.

Co ty tu robisz ! ? - pyta zdziwiony. Ja na to, że tak i tak sprawy się mają ... Wiesz - mówi - a mnie powiedzieli, że tu jest specjalny więzień, który ma specjalną wartość. Ale co tu robisz ? Tak sobie chodzisz sam ? - pyta. Bo mi pozwolił ruski żołnierz - odpowiadam. Widzisz, przecież bosy jestem, nie mam siły, nawet nigdzie iść, cholera, nie ucieknę !

Ale ty tu jesteś, może byś uchylił bramy, ucieknę, skryję się między ludźmi na targu, Lublin dobrze znam... A on, że za nic tego nie zrobi. Posłuchaj - mówię - jak tego się boisz, to może byś przekazał grypsik do mojej rodziny. Pójdiesz do mnie do domu, matka da ci parę groszy... Żebyś mi tylko lekarstwo przyniósł, więcej nic nie chcę. Zgodził się.

Napisałem gryps /fot. w załączeniu/, że jestem chory na czerwonkę, proszę o lekarstwo... Zaniósł gryps, ale nie od razu, kiedy ja już byłem w ... Charkowie. Po prostu potrzymał gryps przez kilka dni, a sytuacja całkowicie się zmieniła.

No więc wracam do celi z tą puszką, a tu prosto na mnie jak na nie-szczęście wchodzi komendant więzienia. I od razu nagan ! który miał zawieszony na smyczy z aluminiowych granulek. Co ty tu robisz ! ? - wrzeszczy. Proszę pana - mówię, bo już wiedziałem, o co chodzi - pan do mnie nic nie ma. O, ty taki nie taki, ja cię zastrzelę ! - wrzeszczy i rewolwer wyciąga. A to co ? ! Puszka - mówię - na jedze-



nie. Rzucić ! Nie rzucam. Rzucić ! Nie rzucam. I w tym momencie "mój" sowiet wchodzi i z pepeszą do tamtego - Ja ciebie ubiju, ty sobako ! To jest mój więzień i prawa nie masz do niego nawet się odzywać ! Zamelduję, żeś z nim rozmawiał - i pepeszę do niego przycisnął. Komendant struchlał, schował rewolwer i poszedł. Bo on był w mundurze berlingowca, a "mój" był w NKWD...

No więc któregoś dnia Niemcy roznoszą jedzenie, zresztą tylko rano roznosili posiłek. Przychodzi ich dwóch. Jeden mieszał w kubie jakimś patykiem, i wlewali tę zupę do małego kubeczka, a potem do naczynia, jeżeli w ogóle miało się jakieś naczynie, bo jeżeli ktoś naczynia nie miał, to nie jadł. Nalali mi taki jeden kubeczek wrzątku z buraczanymi liśćmi, bez soli, bez niczego... Ja do Niemca - Masz mi tu nalać drugi kubek ! A ten do mnie ! Jak nie kopnę w ten jego baniak i po niemiecku... Uciekaj, bo... Przyleciał "mój" opiekun, komendant przyleciał - Co tu się dzieje ? Powiedziałem żołnierzowi, co się stało, a ten od razu do Niemca - Zabiję ! Dopiero komendant poprosił go, by nie zabijał Niemca, bo jemu, komendantowi, wszyscy Niemcy podlegają.

W nocy zaprowadzili mnie do innej celi. Wchodzę. Ciemno. Czują, że jest tu bardzo wielu ludzi. Gorąco, duszno. Szumy, nocne westchnienia. Kładź się ! - mówią. Chodzę, szukam miejsca, a tu wszędzie nogi i nogi. Wreszcie znalazłem kawałek miejsca, położyłem się i natychmiast zasnąłem. Rano budzą mnie głosy - Patrzcie, jaki młody ! Otwieram oczy, a tu sam babiniec i ja sam jeden. Same kobiety. Z AK, folksdojczki jakieś. Jak ja to zobaczyłem ! ... Ale zaraz przyszedł po mnie "mój" żołnierz i zabrał mnie. Sam nie wiem, po co mnie tam wsadzili, przecież do miłości to ja się wówczas absolutnie nie nadawałem...

I znowu przenoszą mnie do nowej celi. Okno duże, szyby powybijane, krata... I ja sam, leżę na sienniku. Boże ! jakie wszy miałem...

Ile ich nabiłem !. I po raz pierwszy przyprowadzają do celi innych więźniów. Najpierw wszedł jakiś inteligentny facet. Z Garwolina. Był przedwojennym sędzią. Potem przyprowadzili rolnika z Lubartowskiego. Twardy był facet... Jak go męczyli! Gdzie oddział broń ukrył... Jaki on przychodził zmaltretowany... To aż żal było patrzeć.

Siedziałem tam przez kilka dni, nim doszedłem do siebie. Trochę ze sobą rozmawialiśmy, nawet dość swobodnie, choć w pewnych granicach, bo każdy swoje wiedział tylko dla siebie... Co do jednego zgadzaliśmy się całkowicie, a mianowicie, że nikt z nas nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Chłop klękał, modlił się; wszyscy żeśmy się modlili.

Wszystko tu było też okrutne. Mieliśmy jeden siennik na betonowej podłodze - w tamtej celi to chociaż z desek była podłoga. I tak wspólnie żeśmy wegetowali, patrzyliśmy na siebie, rozmawialiśmy, razem się modliliśmy... Tak trwało to przez kilka dni.

~~Gdzieś około 10~~ <sup>W dniu</sup> września po południu przyjechali. Samochód osobowy. Wzięli mnie. Ten "mój" żołnierz mnie pilnował. Pojechaliśmy z powrotem na Szopena pod 18. Zaprowadzili mnie do piwnicy i siedzę tam sam. Później przyprowadzili dwóch kolegów Wacka Wermana <sup>ps. "Fechny"</sup> i Mundka Gałczyńskiego <sup>ps. "Pomysł"</sup>, obaj z Kazimierzem, potem przyprowadzili <sup>cały</sup> sztab 27 Dywizji Wołyńskiej. Był <sup>m.in.</sup> major Tadeusz Sztumberg - Rychter "Żegota", kapitan <sup>Franciszek</sup> Pukacki ps. "Gzys", porucznik <sup>Mieczysław</sup> Miroslaw Sławomirski ps. "Prawdziec", Franciszek Krawczak ps. "Żeliwo", inż. Posadyn Józef z Lublina, mecenas Otomar Poźniak /zastępca wojewody lubelskiego, tzn. delegata rządu/; jego już drugi raz aresztowali - za pierwszym razem puścili plotkę, że został zamordowany i puścili go ... a później znów aresztowali. Wielu było; później się okazało, że kompletowali transport do Rosji. Acha! Był jeszcze por. Edward Krasucki ps. "Zoźza" 27 DP.



Ranitko, <sup>widniał fumizma 44r.</sup> tak około godz. 4 wyprowadzają nas do samochodu.

Wchodziliśmy pojedynczo, każdy mówił swoje nazwisko i siadał z rozłożonymi nogami, a następny siadał pomiędzy nogi poprzedniego. Było nas dwa rzędy, <sup>(12 i 13-ty)</sup> Bojcy z pepeszami po rogach. Załadowali na samochód pięć szufli... Myśleliśmy, że już do piachu, że w czapę ...

Jeszcze w nocy wszyscy zaczęliśmy na gwałt pisać małe kartki. Nie miałem żadnego papieru, ale dali mi kilka proszków od bólu głowy, wysypałem je i na opakowaniu napisałem: "Kochani...", na wierzchu adres. Kilka takich napisałem. No i tak jechaliśmy tym samochodem. Wszyscy rzucaliśmy te karteczki, jak kto mógł. Pamiętam, na Krakowskim rzuciłem jedną, na Królewskiej dwie - będą ludzie z kościoła wychodzić, to prędzej znajdą. Ale żaden z nich nie dotarł do moich rodziców. Jeden gryps przyniósł ten mój kolega z AL, ale i tak było już po fakcie... Kiedy matka poszła do więzienia, już mnie tam nie było.

I jedziemy. Nagle patrzymy - las, o, łopaty!... My tak siedzimy, obstawa: przed nami samochód, za nami samochód. Skręcamy w las... To już koniec... Ale patrzę - samoloty, poznałem, jesteśmy w Swidniku koło lotniska. Stanęliśmy, samochód cofa - Wychodzić! Wychodzimy. Patrzymy, a jakieś kilka metrów stoi samolot pasażerski - amerykańska Dakota.

Kto chce niech sobie siusiu zrobi - mówią sowieli i proszą do samolotu. Każdy był bardzo podenerwowany, niektórzy mówili, że z nas zrobią jakąś żywą torpedę...

Weszliśmy do samolotu, z nami jakiś dwóch - trzech półkowników NKWD. I startujemy, startujemy prosto we wschodzące słońce... Tylko wystartowaliśmy, spojrzalem, a tu wielkie czerwone koło wschodzącego słońca... Z początku lecieliśmy nisko - jakiś gospodarz wyszedł z chałupy, przetarł oczy, patrzy... Poznałem z góry Chełm... Przelecieliśmy nad Kijowem, wreszcie dotarliśmy do Charko-

wa. Trochę rozmawialiśmy w samolocie, ale Ruscy to tylko - Niczewo, niczewo, nic nie będzie. Jeden tylko powiedział - No, żyć' budiesz, ale kochat' niezachociesz. Było to 10 września.

W Charkowie załadowali nas do więźniarki- wewnątrz małe pojedyncze cele, na stojąco. Od razu do łaźni więziennej. O, jaka była radość, kiedy nam dali czystą bieliznę, a tacy przecież byliśmy zawszeni, że hej !

Kiedyśmy się przebrali, znów wsadzili nas na samochód, ale już nie więźniarkę, tylko odkrytą ciężarówkę. Zawieźli nas na boczną ulicę. Wtedy poznałem dopiero, że to Charków, bo przejeżdżając przez jakiś plac, poznałem to miejsce... Pamiętam, widziałem w niemieckiej gazecie w czasie okupacji akurat z tego miejsca zrobioną fotografię tego placu. Jak spojrzałem na te budynki, to identiko, identiko !.

Wprowadzili nas do budynku <sup>(miejsc. Beruzobnyj Periwok 5)</sup> - jakaś szkoła, może jakieś biuro, okna bez krat. Z jednej strony koszary wojskowe, potem jakieś domy, a z trzeciej strony stał wysoki mur, pod nim jakieś komórki/później się okazało, że to stajnie/. Mieściło się tam - jak na ich warunki - jakieś chyba prywatne przedsiębiorstwo czy coś takiego. Obok mieściły się chyba magazyny wojskowe z mundurami. Chyba je przywozili je z pól bitewnych, bo leżały tam najprzeróżniejsze w takich wielkich kupach; ciągle tylko je przekładali i przekładali z kupy na kupę. Poprzydzielali nas do sal. Mnie przypadła chyba siódemka. W tej właśnie sali spotkałem moją kolegę Bronka Wyżlica /z tym miodem/, pana doktora Jana Danielskiego, który mi później bardzo pomógł. Spotkałem pana Jana Chmielewskiego /ludowiec, starosta powiatu lubelskiego z delegatury/, pana Wacława Modzelewskiego /ps."Zawada", dowódca AK miasta Lublin/. Był Zenek Biechoński z Opolą Lub., Danek Piątkowski z Lublina, Władysław Kantorowski /ps."Wicher" z oddziału "Nerwy", spotkałem go kiedyś w Kierownictwie Walki Podziemnej/, Bolesław Grabowski z Kraśnika /ludowiec, delegat rządu na powiat kraśnic-



ki, por. Edward Joświłko z Okr. AK Białystok no i ja pomiędzy nimi.

W Charkowie była wyjątkowa grupa ludzi. Całe dowództwo okręgów lubelskiego, Iwowskiego. Szereg generałów:

1. Bittner Ludwik ps. "Halka" d-ca 9 DP AK
2. Filipkowski Władysław ps. "Janka" Kdt. obszaru Lwów AK
3. Switalski Adam ps. "Dąbrowa" Insp. KG na okr. Lublin AK
4. Tumidajski Kazimierz ps. "Marcin" Kdt okr. Lublin AK  
/występował wówczas pod nazwiskiem Grabowski/,

delegacji rządu londyńskiego, także z Białegostoku.

Wszystkie specjalne dyspozycyjne grupy AK, bo np. nasz pluton KWP - jak się później okazało, o czym w czasie wojny nie wiedziałem, nasz pluton był dyspozycyjnym plutonem do specjalnych zadań dowódcy okręgu. Był też Kedyw /Kierownictwo Dywersji Wojskowej/.

Konspiracyjne pseudonimy jak najbardziej były zachowane, nikt nas zresztą nie zwolnił z przysięgi wojskowej. W sumie było nas 133.

Byli, jak mówiłem lwowiacy, bardzo weseli chłopcy, batiary... śpiewali taką piosenkę:

Na Kadeckiej ulicy  
siedzą ludzie w piwnicy  
Jest Bandera, jest AK  
Każdy dobry humor ma.

To była ich taka sztandarowa piosenka. Siedział, jak wyżej wspomniałem ich dowódca, generał Władysław Filipkowski ps. "Janka".

No więc byli chłopcy ze Lwowa, z Lublina i częściowo z okręgu białostockiego AK - dowódcy białostockiego chyba nie złapali, ale był delegat rządu na Białystok oraz Jarosławia.

Można powiedzieć, że stanowiliśmy kwiat AK - później mówiło się o nas grupa charkowska.

Łóżko moje stało obok dra Danielskiego. Od razu mówił do mnie - Co pan tak słabo wygląda ? Ranny pan był czy co ? Opowiedziałem mu o czerwonce. Panie - mówi- to pan ma szczęście u Boga, żeś pan po tym wszystkim wyszedł. Najprawdopodobniej uratowały pana te jajka,

bo powstrzymały biegunkę.

Z pokoju do pokoju, tzn. z komnaty do komnaty, nie wolno było nam chodzić. Wszędzie na korytarzach warty, obstawione. Na posiłki chodziliśmy do stołówki. I trzeba powiedzieć, że jak na ich stosunki, porównując z przeżyciami późniejszymi, warunki były niezłe, jedzenie było naprawdę dobre.

Działy się tam różne rzeczy... Była głodówka 3-4 dni, dosyć krótka, o powrót do kraju. Cieszyliśmy się, że wojna się skończyła, choć nie mieliśmy żadnych wiadomości, zabroniona była wszelka korespondencja. Nawet prasy nie dawali. Wiadomości czerpaliśmy z ... ubikacji. Prymitywna była, ale chodzili tam i bojcy, więc gazeta służyła nie tylko do obsłużenia pewnej części ciała. Gazety po bojach wyciągaliśmy, myło się to, a znający rosyjski wszystko nam tłumaczyli. Tą drogą dowiedzieliśmy się o procesie generała <sup>diplomata</sup> Okulickiego w Moskwie. Byliśmy szalenie zdziwieni, że Okulicki, Polak, jest sądzony w Moskwie. Taki zasłużony i dzielny oficer za co i dlaczego w Moskwie ?.

Pierwszym komendantem obozu był podpułkownik Bieriestniew, później - major Szlapin.

Jedyną ofiarą obozu w Charkowie był kapitan Jan Gołąb /pochodził z Opola Lubelskiego/. Zgubiła go nostalgia. Strasznie tęsknił za domem, za dziećmi. Zmarł śmiercią naturalną. Wcześniej przestał jeść. Pomieszania zmysłów dostał przedwojenny major policji - nie pamiętam jego nazwiska, ale wiem, że wrócił do kraju.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 45r. Za pozwoleniem majora Szlapina urządziliśmy jasełkę. Hitler to był Herod, pastuszkowie - polscy partyzanci... Autorem sztuki był pan major Sztumberk-Rychter /ps. "Żegota", dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji/, a pomagał mu chyba pan Mecenas Ot<sup>t</sup>mar Późniak. Przyszli bojcy wraz z komendantem. Kiedy zobaczyli jak partyzanci wyszli z karabinami... Jak się rzucili, żeby



to zobaczyć - co to jest ?. A było to drewno wypolerowane pastą; karabiny błyszczały jak prawdziwe. Szczególnie zasłużył się w tym wszystkim kapitan Franciszek Pukacki ps. "Gzys" /cichociemny/ z 27 Wołyńskiej, już nie żyje zmarł nagle; to był zdolny facet - pięknie potrafił rzeźbić.

Zaraz po przedstawieniu przychodzi do nas ruski komendant - Chciałbym wam ogłosić, że pojedziecie do kraju. Radocha u nas ogromna !. Było to chyba 28 grudnia.

Był między nami ksiądz ze Lwowa, ~~niestety nazwiska nie pamiętam~~, żołnierz AK, taki w okularach - lwowiaczy nazywali go "Dziunio". Ale Sowietci nie pozwolili mu odprawiać mszy, owszem jakieś wspólne modlitwy, ale mszy nie.

Po pewnym czasie zrobiliśmy podsłuch radiowy, o czym Sowietci nigdy się nie dowiedzieli. Słuchaliśmy tego radia, co prawda tylko z Charkowa czy Kijowa, ale zawsze to już coś. Było to proste urządzenie, w którym nic nie można było kręcić; przepisywaliśmy wiadomości, krążyły komunikaty. Któregoś dnia mieliśmy taką krótką dyskusję ze Szlapinem, który zdziwiony pyta - Skąd macie takie dokładne informacje ? !

Względem Szlapina nie mieliśmy w zasadzie żadnej formalnej naszej reprezentacji. Sami słuchaliśmy i jak najbardziej zdyscyplinowani byliśmy wobec naszych generałów. Największym autorytetem ze względu na wiek cieszył się generał Ludwik Bittner, właściwie pełnił on funkcję naszego przełożonego.

No i zgodnie ze słowami Szlapina, któregoś wieczora samochodami zawieźli nas na stację, ale wsadzili w ... wagony więzienne. Były to takie towarowe więźniarki wagony, <sup>zw. "stolypinskiye"</sup> przegrodzone, z przejściem z jednej strony, reszotki, tzn. kraty, cały wagon podzielony na cele. W transporcie byliśmy tylko my - z Charkowa. Widok pociągu już nam starczył, by domyślać się, dokąd nas wiozą. Na całą podróż dali

nam suchy powiatn, tylko kiepatku od czasu do czasu. Ale i tak pić się nie chciało, bo było w wagonie strasznie zimno. Tym, którzy spali na dole, dawaliśmy całe nasze ubranie by nie zamarзли, natomiast na górze znów był upał nie do wytrzymania.

Kiedy zorientowaliśmy się, że wiozą nas w kierunku Riazania, miejsca utworzenia polskiego wojska, poczęły plotki krążyć, że wiozą nas po prostu do wojska.

Gdzieś po kilku dniach podróży, około 3 stycznia 46 r. dojechaliśmy do Riazania. Wyładowali nas, a tu zima !!! I do obozu. Ja to nawet do obozu dojechałem samochodem, bo jakoś tak się złożyło, że potrzebowali sowieci ochotników do pierwszej grupy - coś ładowaliśmy czy rozładowywaliśmy, dokładnie nie pamiętam. Jednym słowem znalazłem się w tej pierwszej grupie ... Samochód nawalił i ci, którzy mieli jechać po nas, musieli piechotą zasuwać, a był to kawałek drogi - jakieś 10 km. A zima taka, że hej, zawieja potworna !.

No i tu wpadliśmy do prawdziwego łagru w stylu radzieckim. Kłapy, tzn. pluskwy - to pierwszy obraz, jaki zawsze będę pamiętał... Baraki obok siebie, na przodzie komendantura, poczwórne druty, tzn. jeden niski i zaorane pole, dwa wysokie i znów zaorane pole i znów niskie druty. Na wszystkich drogach budki strażnicze tzw. gołębniki. Poza tym, na długich drutach chodziły psy. Zbudowali go chyba jeszcze przed 39r.

Obóz właściwy mieścił się w Diagielewie. Obok obozu była wioska o tej nazwie. Niedaleko znajdowała się bocznicą kolejowa, mała stacyjka czy raczej drewniana budka... Widać, że w pobliżu było kiedyś duże lotnisko. Stały elewatory zbożowe, obok osiedle, chyba dla pracowników, budowano tam jakąś fabrykę, której budowę przerwano. Stały ze trzy bloki, w których ci właśnie przyszli pracownicy mieli chyba mieszkać, a mieszkali w nich tamtejsi obywatele.



Wszystko u Ruskich musi być "kulturalno", więc od razu zabrali nas do baraków na okres kwarantanny, do baraków, w których nie było ani jednej szyby. Wiatr hulał, zadymka. Spać musieliśmy w ubraniach czapką otrzepywało się śnieg. Że człowiek się nie przeziębik! - nie wiem, jak to się stało...

Kiedy przyjechaliśmy, w obozie było już około 2 tys. ludzi. Byli z Kieleckiego, ze Lwowa, z Białostoczczyzny, z Lubelszczyzny, i z Wileńszczyzny. Ruscy przywieźli tu ludzi z różnych powodów. Np. jeden kolega z Kielc opowiadał mi, że gdzieś pod Sandomierzem sowieci robili przyczółek, a on był ich przewodnikiem; był z końmi, które mu zabrali, a jego do Riazania... Z początku w obozie byli sami Polacy. Życie jakoś się toczyło... Ludzie się poznawali...

Po kwarantannie idziemy do bani. Staliśmy na lodzie i polewaliśmy się zimną wodą, bo ciepłej w ogóle nie było. Ubranie oddawało się do "katiuszy" tj. odwszalni. Musi być kulturalno! - każdy to musiał przejść.

Po kwarantannie nawet nam szyby w barakach powstawiali...

Tu bym chciał zaznaczyć, że zaraz po naszym przyjeździe, jeszcze w styczniu 46, wyjechała do kraju grupa około 800 ludzi. Była to jedyna grupa, która powróciła wcześniej, bo my dopiero w 47r., dopiero po półtora roku, jak następne grupy pojechały do kraju i to po głodówce.

Ta pierwsza grupa została w jakiś sposób wyselekcjonowana, ale nie wiem, w jaki sposób. Pamiętam tylko, że kiedy oni <sup>wyjeżdżali</sup> wrócili, wszyscy bardzo się cieszyliśmy...

Znam różne sprawy z wcześniejszym powrotem. Ciekawa np. historia była z Jerzym Litwiniukiem. Jego matka była lekarzem w Lublinie, nawet później kierownikiem wydziału zdrowia. Siedziała w Riazaniu, a Jurek w Charkowie, stamtąd przyjechał z nami do Riazania i tu się spotkali. Jego ojciec zajmował jakieś eksponowane stanowisko

i starał się o ich powrót. Ale trzymali ich i trzymali. Wreszcie pojechali, ale nie od razu do kraju, tylko do innego obozu i jeszcze do innych kilku. To właśnie taka ich sowiecka technika działania...

Jerzy Krzyżanowski w Lublina, syn znanego historyka literatury Polskiej z grupy Stalinogorskiej też wyjechał wcześniej do kraju tzn. do innego obozu.

No więc, jak ta pierwsza grupa powracała, wszyscy dawaliśmy im grypsy do rodzin, ale nie przypominam sobie, żeby do mojego domu cokolwiek dotarło.

Między nami byli także repatrianci, Rosjanie, którzy powrócili po wojnie z Zachodu na rodzinę. Dali się po prostu nabrać na propagandę sowiecką w czasie wojny. Biała emigracja. Między nimi był pułkownik Korczyński /około 70 lat/, bardzo inteligentny facet, razem z żoną - śpiewaczką operową, jaki ona miała piękny głos! Mieli ze sobą dwoje dzieci - chłopiec i dziewczynka. Ci i pozostali Rosjanie mieszkali w barakach całymi rodzinami. Ich pobyt w obozie to była taka ~~po~~ewierka, która mogła trwać rok lub 10 lat. Strasznie sobie w brodę pluli, że dali się namówić na powrót. Wszystko sowieci im pozabierali i wsadzili za druty. Trzymali się nas. Kiedy rozpoczęliśmy głodówkę, głodowali razem z nami.

Innych obcokrajowców w naszym obozie nie było.

Za moim barakiem był barak szpitalny, dalej KPZ, kamera jakiegoś tam zakliuczenia. Tam też mieściło się NKWD z szefem, przezywaliśmy go Sucha Rączka, bo miał coś z ręką, rządził całym obozem. W szpitalu pracowali polscy lekarze i siostry radzieckie. Jedna lekarz dentysta pracowała w lecznicy dentystycznej, którą prowadził polski dentysta dr <sup>Witold</sup> Kaszubowski z Parczewa/to było nazwisko



konspiracyjne, pod którym cały czas występował/.

Ze szpitala pamiętam dra "Wanię" /Alfred Paczkowski #/.

W Diaglelewie spotkaliśmy się z polską komendanturą, ale polscy komendanci w zasadzie nie mieli żadnego wpływu, tylko w jakichś drobnych sprawach organizacyjnych. Przez jakiś czas pełnił tę funkcję kapitan Jan Irbej-Zawadzki. Po śmierci pana Korczyńskiego /umarł w więzieniu/ Irbej ożenił się z wdową po nim - chciała wydostać się jakoś do Polski, ale jej się chyba nie udało, bo Irbej powrócił razem z nami. Ona chyba musiała zostać - zresztą dokładnie sprawy nie znam. Później komendantem został Jaś Lewandowski, chyba z grupy wileńskiej.

Nasi generałowie mieszkali w osobnym pokoju; później dołączył <sup>już w 1946r.</sup> do nich dowódca okręgu wileńskiego, generał "Wilc" /Aleksander Krzyżanowski/ d-ca Okr. Wileńskiego AK.

Organizowaliśmy przeróżne wykłady: języki obce, fizyka, matematyka... Byli między nami profesorowie, był nawet przedwojenny senator - staruszek, siwiutki pan Osiński, wówczas miał ok. 80 lat. Czemu go zabrali? - nie wiem. Jeszcze w Charkowie dr Danielski uczył angielskiego i francuskiego; wtedy właśnie zetknąłem się po raz pierwszy z angielskim - zresztą później, kiedy już wróciłem, uczyłem się dalej tego języka. Prowadzone były także różne kursy, np. sam ukończyłem kurs leśny /dyplom ukończenia w załączniku/. Koledzy z wyższym wykształceniem muzycznym prowadzili kurs muzyczny.

Może opowiem, jak człowiek się uczył. Mieliśmy takie deseczki lipowe. Kiedy sobie zapisałem 20-30 słówek, uczyłem się ich perfect i ścierałem je, by zapisać kolejne. Przecież papieru nie było. Zresztą sowieci stale przeprowadzali rewizje tzw. hipisze zabierali nam wszystko. Dopiero kiedy zobaczyli, że to nauka języka obcego, to albo zwracali, albo nie. Tak nawiasem mówiąc, zabrali

mi taki skórzany portfel, jeszcze z domu, tak mi go pocięli na kawałeczki - szukali jakiejś armaty czy co ? !  
To już był u tych ludzi prawdziwy obłęd... Teraz, kiedy to opowiadam, wygląda to wszystko inaczej, ale wówczas, kiedy stale były jakieś pieriewierki i hipisze, człowiek strasznie się denerwował, przeżywał to wszystko.

Organizowaliśmy też teatr, występy. Jak już powiedziałem, pierwszą sztuką były jasełka jeszcze w Charkowie. Tam też mieliśmy jeszcze jeden występ, nazwijmy go kabaretem. Teksty pisał major "Żegota". Później odbyła się wystawa rzeźby, robiliśmy je w drzewie.

Wszystko musieliśmy kombinować sami, a przecież ani noży, ani jakichkolwiek narzędzi nam nie dawali. Np. trzeba było uciąć w odpowiedni sposób kawałek resora, wyczyścić - tarliśmy metal na kamieniach. A przecież nie wychodziliśmy nawet na spacer /dopiero głodówką je wywalczyliśmy - zaczęło się od 10 minut aż do 2-3 godzinnego spaceru/. Potem koledzy robili nożyki ze sprężyn, szlifowali je. Przywiozłem kilka takich rzeczy, które koledzy zrobili; np. dostałem na imieniny orzełek na drewnie, wisiał on w sali nr 7 w Charkowie /fotografia 2. załączona/. Albo ta odznaka metalowa /fotografia 3. załączona/, uznana za odznakę Polskich Więźniów politycznych w ZSRR. Projektantem odznaki był Kol. Zbigniew Kornet <sup>immiński</sup> /Tadeusz Forowicz/. Otrzymałem ją od gen. "Marcina" w dniu 3 maja 1946r.

Ale powróćmy do teatru. Wiele było różnych sztuk. Trochę to było robione w stylu rewelowym, np. bardzo często śpiewała operowe arie pani Korczyńska. Nie mieliśmy żadnych instrumentów. Żeby kupić, musieliśmy robić składkę. Występował chór rewelersów pod batutą <sup>Pysza</sup> ~~Surka~~ Damrosza /~~chyba~~ z grupy wileńskiej/. Miałem nawet



jego batutę z jego inicjałami, którą zostawił w Diagielewie przy wyjeździe po głodówce, udało mi się przewieźć do kraju.

W chórze występowało czterech czy pięciu kolegów. Występował też jeden Węgier, który do nas przyjechał, był iluzjonistą, miał artystyczny pseudonim "Potassy". Kiedyś nawet przyjechał z cyrkiem do Lublina. Spotkaliśmy się, a jakże; dowiedziałem się, że żyje. W tym spotkaniu uczestniczył także Tadzio Szczepkowski z Lublina /już nie żyje/. Ten Tadek też miał dar do tych sztuczek, trochę był oblatany w tych sprawach. I kiedy "Potassy" występował w obozie, poprosił aby ktoś z publiczności przyszedł do niego. To my wtedy wszyscy - Tadzio ! Tadzio !

Trochę mu tam poprzeskadzał, bo to przecież cudów nie ma ...

Grane były także jedno-, dwuaktówki. Była taka znana postać teatralna obozowa ppor lotnictwa Michał Tymosławski z Lublina, wesoły facet. Nienajgorzej grał na gitarze, nieźle śpiewał - takie kuplety. Pamiętam, lubił śpiewać taką piosenkę "Mała Talu , ta ta lu ..."

Wspomnę jeszcze o Tadku Szczepkowskim, który był bohaterem najlepszego numeru humorystycznego w łagrze.

Był wśród nas chorąży <sup>Paniet</sup> (Kobus. Starszy pan, cwaniak nad cwaniakami. Otóż pewnego zimowego wieczoru przyszedł do Kobusa Tadzio z propozycją. Mam kotiełek gotowanego ryżu, czy pan kupi ? Ile chcesz pyta Kobus ? 10 rubli, to tanio. Pokaż ? Nie pokażę bo ktoś jeszcze zobaczy i przeskarży. Niech pan da swój kotiełek to przesypię. Kobus dał kotiełek, Tadzio przesypał "ryż", wziął 10 rubli, doradził aby Kobus przykrył kotiełek i postawił na piecu to mu nie wystygnie. Gdy Kobus po pewnym czasie zapragnął zjeść ryż, okazało się że ryżu nie ma, jest tylko woda. Możecie sobie wyobrazić jakie biedny Kobus słał wiązanki pod adresem Tadzia, bo ten sprzedał mu śnieg za ryż. Ubaw był fantastyczny, cały obóz śmiał się serdecznie.



VI A w prasie i radio okrzyki i ody  
Kochajcie się bracia słowiańskie narody  
I trzyma w obozie nasz sąsiad sąsiada  
Czym chata bogata tym rada bis

Objaśnienia - zwrotka IV "parasza" - więzienny kibel w więzieniach  
sowieckich.

- W zwrotce V-ej jest mowa o rewizjach tzw. hipiszach,  
przy których więzień musiał skakać do góry i robić  
przysiady /prysiudy/.
- Coemab nepboł pombl" - skład pierwszej kompanii .

Treść tej pieśni, jej melodia, mówią wystarczająco o przeżyciach  
psychicznych i fizycznych wywiezionego do łagrów sowieckich  
żołnierza AK.

A piosenka odgrywała w łagrach ogromną rolę. Na wszystko  
była dobra; na chandrę i złe wiadomości, na głód i mróz, na różne  
wybryki NKWD -dzistów. Mieliśmy i my chłopcy z Lublina  
piosenkę, którą przywiózł <sup>własny</sup> ~~właśnie~~ Henio Żabicki z Opola Lubelskie-  
go i która przypadła nam do gustu.

Pamiętam jej refren: Cóż nam może zrobić polityczna gra  
Kiedy Wujo Truman na atomie gra  
Z nami stoi Anglia i Londyński Rząd  
Może AK za 3 lata wyrwą z tąd ?

Prorocze słowa, bo pasowało nie 3 a 2 lata, ale Henio upierał  
się, że 3.

W Riazaniu sowieci pozwolili nam na mszę świętą. Było wśród  
nas kilku księży, czterech czy pięciu, wszystko oficerowie.  
Pamiętam, jeden to był "Dziunio" /nazwiska nie pamiętam/ ze Lwowa,  
o którym wcześniej wspominałem, bardzo sympatyczny człowiek, sza-  
lenie wesoly. Był też Ks. <sup>Antoni</sup> Piotrowski, bardzo bojowy, młody /miał  
wtedy trzydzieści kilka lat; pracował chyba w Warszawie w kościele



pod wezwaniem św. Aleksandra/, ach jak fantastycznie zbudowany! Przed wojną był zawodowym oficerem kawalerii, później został księdzem. Trzeci ksiądz był już starszy, chyba proboszcz gdzieś z Białostoczczyzny czy Wileńszczyzny, mało go znałem, nazwiska nie pamiętam. Szaty liturgiczne zrobili nasi. Przepiękna kapa! Ornat zielony - wykonany chyba z płaszcza, na nim piękne orły. Msze się odbywały w święta i w niedziele - nie pamiętam, czy regularnie w każdą niedzielę, ale napewno z okazji świąt. NKWD-ziści dostarczali nawet wino... Pewnie z ich strony to było takie psychologiczne posunięcie, bo jak święta to ludzie podenerwowani, a zależało im na spokoju... Oni też przytomniaki byli ! ...

Pamiętam pasterkę w 46r. Wcześniej sowieci wezwali ks. Piotrowskiego i pytali, czego mu trzeba do mszy... Cała uroczystość odbywała się w korytarzu w moim baraku. Mszę odprawiał właśnie ten bojowy ksiądz - Piotrowski. A jaka była mowa... Płakaliśmy wszyscy jak bobry... Och, panie, przyszło tylu ludzi, ilu tylko mogło się pomieścić w korytarzu, stali też na dworze.

Jeszcze pamiętam uroczystą mszę z okazji 3 Maja. Uroczystości odbywały się na powietrzu. Ołtarz był na tylnej ścianie piekarni, staliśmy na placu sportowym. Ks. Piotrowski w sposób patriotyczny, ze wzruszeniem mówił o ojczyźnie, tęsknocie. Cały obóz ..., nawet repatrianci przyszli. Zresztą oni nie mieli żadnych kontaktów z prawosławnym duchowieństwem. Dookoła wzmocnione posterunki ...

Myślę, że te uroczyste msze, żeby mogły się odbyć, załatwiali po cichu z sowietami nasi generałowie.

Następny temat, o którym całą książkę można by napisać, to wyżywienie. Trzeba to podzielić na dwa etapy.

W Charkowie było nieźle, trudno mieć jakieś zastrzeżenia, może tylko z wyjątkiem ilości. Podawano nam czysto, na stołówce, prawdziwe talerze, posiłki trzy razy dziennie, regularnie...,

nie mogę kłamać - co było, to było. Tylko nasi starsi koledzy, którzy znali Sowietów, znali Rosję, bardzo się niepokoiли takim stanem rzeczy, zwłaszcza że Sowieci starali się nas izolować od świata. Bo od dobrego można tu szybko dostać w czapę.

W Riazaniu było już zupełnie inaczej. Trudno porównywać... Brud, niechlujstwo... Każdy z nas musiał kombinować jakąś menaszkę czy kotiełek. Tylko, że o kotiełki nie było trudno, bo na stacji kolejowej na bocznicy stały wagony pełne triofieci. Przywozili jakieś maszyny elegancko zapakowane. Spotkaliśmy nawet maszyny z Poznania; tokarki, frezarki ..., z napisem Cegielski. Zdarzały się tam arkusze blachy aluminiowej i z nich właśnie obozowi rzemieślnicy robili przeróżne kotiełki. Jeden nawet udało mi się zachować, ale nie mam go w domu. W taki kotiełek wchodziło ze dwa litry.

Jak wyglądała kuchnia? Ze cztery wmurowane kotły. Przywozili łby np. baranie i gotowali. Kuchnia była dla wszystkich jedna, ale podział istniał na nas i kadrę oficerską - oficerowie jedli w stołówce /Sowieci mieli osobną kuchnię/. Oficerom dawali garnek zupy na dziesięciu, reszta pobierała żywność na kuchni. Nosiliśmy to w takich szaflikach po marmoladzie, trzy razy dziennie. Chleb wydawali raz dziennie po 40 deko - dyżurni wychodzili za bramę, tam była zbiórka i szli razem do chleboreski tzn. magazynu z chlebem, który mieścił się poza obozem.

Piekarnia była na terenie obozu, piekli Polscy piekarze. Po prostu do foremek nalewali ciasto. Niby otrzymywało się 0,4 kg chleba, ale w rzeczywistości wychodziła mała, skromna kromka, bo ten chleb był bardzo ciężki. Żeby dłużej trwała przyjemność jedzenia, przyklejałem go sobie do podniebienia i tak przez parę godzin liżałem. Wszyscy ten chleb szybko zjadali i każdy czysty chodził przez cały dzień. Kilka razy dawali nam drożdże do picia.

W tych szaflikach nosiło się wszystko - i zupę, i drugie, a było kawałek drogi do kuchni do baraków, więc zimą jedzenie zawsze dyżurni przynosili zimne. Latem było lepiej.

Kiedyś, pamiętam, przyjechała jakaś komisja. Odmierzili kawałek łąki i kazali nam kosić. Wszystko to złożyli na stole, zaczęli przebierać, przebierać; wniosek komisji: to jest plantacja szczawiu... Później chłopaki chodzili, kosili i wszystko wrzucali do kotła.

Bardzo często przywozili łąby baranie z rogami, nie oczyszczone, w całości wrzucali do kotła i gotowali. Z tych oczu, z tego wszystkiego tworzyła się jakaś taka galareta... Było trochę takich amatorów - nazywaliśmy ich "kiszkojady" - którzy chodzili i dłubali w tych łąbach, żeby trochę mięsa znaleźć.

Niektóre brygady chodziły do pracy do elewatorów. Przynosili chłopaki stamtąd ziarno żyta albo pszenicy, przepuszczaliśmy je przez własnej roboty żarna i robiliśmy tzw. "bałandę", tak bez soli, bez niczego, ugotowane tylko na wodzie, przeważnie na gęsto. Wielokrotnie zdarzało się, że otrzymywaliśmy do jedzenia coś czarnego. Chłopaki mówili, że to kisiel i tak z początku myśleliśmy. Ale okazało się, że to były zmarznięte ziemniaki.

Tak dokładnie nie pamiętam wszystkich norm żywności, ale jedno dobrze pamiętam, że musiało zawsze być kulturno - zawsze, codziennie przed kuchnią wisiała rozpiska, ile produktów zostało przydzielonych na obóz, ile przypada na jedną głowę.

W obozie był warsztat. Robiliśmy drewniaki i kłódki. Materiał na drewniaki braliśmy z tornistrów niemieckich. Na przywiezione gotowe drewniane podeszwy przybijaliśmy paski drucikami. Norma wynosiła 8 par dziennie.

Praca nie obowiązywała oficerów, niby resztę obowiązywała, ale i tak tego nikt nie przestrzegał. Ile się zrobiło, tyle się za-



robiło.

Przez jakiś czas jeździliśmy do likiernego zawodu, do fabryki wódki w Riazaniu. Zmienialiśmy tam dach. Trochę popiliśmy... Ale przeważnie wódkę przynosiliśmy do obozu i sprzedawaliśmy funkcyjnym, którzy pracowali na kuchni albo w piekarni, fryzjerowi się płaciło, więc szkoda było wypijać samemu.

Z naszego obozu widzieliśmy w panoramie Riazania piękne budynki. Zastanawialiśmy się, co to może być - może jakiś uniwersytet, szkoła... Kiedyś tamtędy przechodziliśmy idąc do likiernego zawodu. Patrzymy, a to tiuma - najpiękniejszy gmach w mieście! W tych dawnych pałacach siedzieli więźniowie, sami kryminalni. Duże weneckie okna z kratami bez szyb, a w nich tłumy ludzi... Przed więzieniem znów tysiące ludzi: dzieci, kobiety. Wszyscy straszliwie krzyczeli - jeden wielki krzyk! Jak oni tam się porozumiewali, tego do dziś nie mogę zrozumieć.

Przez płot z fabryką sąsiadowała oficerska szkoła berlingowców, taki potężny gmach... Raz <sup>jednego</sup> ~~jednego~~ spotkaliśmy na ulicy - polski mundur... My też chodziliśmy w czapkach z orzełkami. Chłopaki starali się, by jakoś wyglądać... W obozie był warsztat krawiecki, prowadził go pan Pietrzyk. Szyli mundury lotnikom z pobliskiego lotniska - oficerom. Chłopcy zawsze z tych metrów coś wycięli i zrobiliśmy sobie na wzór angielski takie betl-dresy. Mnie uszył kolega Zdzisio Nowacki taki dres z munduru węgierskiego; ledwo się to kupy trzymało, ale ładnie było... No więc w trakcie pracy posłali kilku z nas po coś i spotykamy tego berlingowca. Cześć Kolego! A on w nogi, tak szybko zaczął wiać, byle dalej od nas!

Innym razem spacerujemy po placu obozowym, blisko drutów i nagle słyszymy "Wojenko, wojenko..." - idzie jakiś pluton czy kompania, śpiewają. To my im zaczęliśmy pomagać w tym śpiewie.

I konsternacja. Stanęli, patrzą na nas, słuchają, a my wszyscy śpiewamy. Ale zaraz bojcy rozpędzili nas do baraków. I już berlingowcy tamtędy nigdy nie chodzili.

Wraz z innymi kolegami byłem kilka razy w sowchozach podległych obozowi Diagieliwemu nr 171 ~~171~~ Raz dali nam zadanie, by skosić pszenicę, bo tak była niska, że kombajn jej nie mógł skosić. Stanęło tak ze 200 chłopaków; jak poszli, to pierwszego aż na horyzoncie było widać! Dobrze tam pojedliśmy, bo dali nam nową poniemiecką kuchnię, a chłopcy byli zdolni... Robiliśmy też bałandę... Ale mówię - chłopaki przydałoby się trochę mleka... byli z nami bojcy - mieszkali w namiocie obok. Mówi ich starszyna, że oni też chętnie by coś zjedli. No to daliśmy im tej bałandy i jedli razem z nami.

Zorientowaliśmy się, że obok w ~~chołchozie~~ była duża hodowla kóz. Chłopakom nie trzeba było dużo mówić, zaraz tam poszli, nadoi-  
li mleka. Zaczęliśmy trochę lepiej jeść - bojcy razem z nami. Dalej rosła cebula. Starszyna do nas, byśmy wzięli worki i nakrad-  
li jej. Ma się rozumieć, że poszliśmy. Nagle ktoś pędzi na koniu -  
Stój! Stój! To my w nogi! On za nami. Tylko przekroczyliśmy poste-  
runki przy namiotach starszyna do tego na koniu - Gdzie? ! Stać!  
A ten - Bo złodzieje! Tam złodzieje! - wrzeszczy. Jacy złodzieje!?  
- starszyna na to - ja tu stoję na warcie, nikt stąd nie wychodził.

Kiedy już urobiliśmy jedzeniem wartowników, już mieliśmy lepiej...

Raz poszliśmy oglądać kombajn. Każdy wziął poszewkę od poduszki, ziarna nabierał. Zawiaduszczy zobaczył - sam nie ukradł, ale od nas kupił....

Tak stopniowo działaliśmy, stopniowo... A chłopakom mięsa się zachciało, bo już tak lepiej jeść zaczęliśmy: i cebula była, i to, i tamto, ogórcy, brakowało tylko mięsa. Starzy partyzanci

chyba z Białegostoku, wszechstronni byli... ! Poszli, wybrali tłuściejszą kózkę, przyprowadzili, zarżnęli, ugotowali, bojcom kawał odpalili... Ci nawet nie pytali, skąd ta koza. Łeb, kopyta, skórę - głęboko zakopali - śladu nie zostało ! I tak różnieliśmy te kozy, sporo, bo było nas ze 200 chłopca.

Raz przyszli do nas Rumuni; spotykaliśmy tam wszystkich, tylko Japończyków nie widziałem, choć niektórzy się chwalili, że w jakimś obozie to i Japończyków spotkali. A byli i Węgrzy i Niemcy i Bułgarzy... No więc napatoczyli się Rumuni w porze obiadowej, patrzą - Polacy mięso jedzą! Każdy ogryza kości... Też gdzieś złapali kozę, zjedli ale nie zakopali kości tylko tak rzucili za namioty, resztę kozy w krzaki ... Psy wywlekły - doszło do milicji. Zjechało się ich! Ze trzy samochody ! Zrobili zbiórkę - ustawili nas w czworokąt: tu Polacy, tu Niemcy... wszyscy jeńcy, którzy tam pracowali. Polaki - mówi komendant milicji - eto choroszy narod, u nich to złodziei nie ma. Podszedł do Niemców - nie! do Rumunów - Kto kozu zariezał? A ich dowódca mówi - Koza ? Koza ? Nie znaju. A szef milicji - Zawtrak kuszał ? Kuszał. A obied kuszał ? Kuszał. Wkustnyj ? Wkustnyj! Ach, to ty, job twoju mać - wrzeszczy milicjant - to zawtrak ponimajesz, wkustnyj ponimajesz, a kto kozu zariezał, to ty nie znajesz ! ?. A wszyscy w śmiech! Jeszcze wieczorem starszyna do nas przyszedł i mówi - Wy, choroszyj narod, wy nie kradzielnyj!

Spotykał człowiek różne narodowości, jak już mówiłem, ale z Niemcami unikaliśmy raczej rozmów... Różnie to z nimi było... Np. 1 września chcieli nam zrobić "przyjemność" i sprowadzili niemiecką orkiestrę symfoniczną, żeby koncert nam urządziła. Żaden z nas nie poszedł. A Niemcy pewnie pamiętali, że Mołotow z Ribbentropem podpisali pakt, że byli sojusznikami i na tę intencję chcieli nam zrobić koncert.



Trochę się kontaktowaliśmy z Rumunami, ale trudno się było z nimi dogadać, zresztą mieli taki jakiś specyficzny sposób bycia...

Najlepszy kontakt mieliśmy z Węgrami.

Chociaż ze strony Niemców, zwłaszcza młodych, były próby dogadania się z nami. I tu młodzi, i tu młodzi,,, Coś tam sprzedaż, kupił...

Pytali się czy nie chcemy od nich czegoś kupić; zdarzało się, że któryś z nas coś tam od nich kupował, chociażby papierosy...

Najwięcej rozmawialiśmy z Rosjanami. Np. pamiętam taki fakt; kiedy zaczęliśmy głodówkę, tę największą, Rosjanie przyłączyli się do nas, choć nasi generałowie zwolnili ich z tego obowiązku.

Z cywilami czasami rozmawialiśmy przy robocie; od czasu do czasu handlowało się z nimi.

Pamiętam, otrzymywaliśmy w obozie od czasu do czasu ryby, takie niewielkie kiłki, czarne malutkie, dawali nam na drugie danie albo na śniadanie. Później dali nam takie twarde ryby, suche, że gwóźdź można było nimi wbić. Z początku wyrzucałem je, ale któregoś dnia nazbierałem całą menaszkę, pozbierałem po innych kolegach, którzy też je wyrzucali. Wychodziliśmy tego dnia do roboty do likiernego zawodu. Jak zwykle, była rewizja, ale jakimś cudem udało mi się schować tę menaszkę za plecami. Zauważył to przedstawiciel fabryki, który nas odbierał spod bramy. Potem mówi do mnie - No, młodoj człowiek, ty chytryj! Pridiosz ty k'mnie, to ja tobie dam stakańczyk wodki. Poszedłem, ale pić nie chciałem, więc mówię - To ja zabiorę ze sobą do obozu. Nie - mówi - pij tutaj! A było tego więcej niż setka. Jak rąbnąłem! Jak mi się w głowie zakręciło! Ale ja - mówię do niego - nie mam co kuszat'. Poszedł i za chwilę przyniósł mi w szklance kiślu.

Rosjanie najbardziej lecieli na zegarki, więc kiedy z kolegą Zdzichem Szewczykiem chcieliśmy nawiewać / w likiernym zawodzie nadarzyła nam się niezła okazja / mieliśmy taki plan: Fabryczka sta-

ła na skarpie, na dole był już teren kolejowy, z płotu chcieliśmy wyjąć deskę i dyla na stację i w byle jaki pociąg, by odbić się od Riazania, ale zmienili naszą grupę do innej roboty, wziąłem od kumpla, Tadeusza Szczepkowskiego, dobry szwajcarski zegarek, mógł w ucieczce się przydać. Nic się nie udało i zegarek koledze oddałem. Ale amatorów na kupno zegarka miałem wielu.

Rozmawiać z sowietami było trudno... Jeśli był jeden sowiet to jakoś szło, ale jak ich już było przynajmniej dwóch, to za Boga nic! Zawsze wsio choroszo, kulturno, koniec pieśni! Wiedzieli przecież kim jesteśmy, że walczyliśmy z Niemcami, ale o tym nie chcieli z nami rozmawiać. Z jednym tylko można było rozmawiać - z majorem Szlapinem, jeszcze w Charkowie. Był to inteligentny facet! Wśród nas był jeden, zawsze chętny do ostrej dyskusji, nazywał się <sup>Jan Schwam</sup> Szram-Grodzicki, kpt przedwojennego lotnictwa, a mówił dobrze po rosyjsku... Tak nawiasem mówiąc, było wśród nas wielu adwokatów, lekarzy, ludzi z wyższym wykształceniem, którzy studia ukończyli jeszcze w carskiej Rosji. Np. dr Danielski mówił wspaniale nie tylko po rosyjsku ale i po angielsku i francusku. Mecenas Późniak bardzo dobrze mówił po rosyjsku, pięknym literackim językiem, aż się Ruskie dziwili. No, ale wracając do sprawy, była taka raz ostra dyskusja ze Szlapinem. Wtedy <sup>Schwam</sup> Szram-Grodzicki m.in. powiedział - Wy nas chcecie rozstrzelać! Trzymacie nas tu w tajemnicy, w ukryciu. To nic... pan major mówi, że mieszkają tu cywile i widzą nas!. Proszę iść ich się zapytać, kim jesteśmy! Powiedzą panu, że jesteśmy bandytami, wrogami Związku Radzieckiego! A to nieprawda! A Szlapin na to - Proszę pana, jak przyjdzie rozkaz, by was rozstrzelać, to go wykonamy! Ja jestem żołnierzem... A to pan - mówi Grodzicki - nie będzie zastanawiał się nad etyką takiego postępowania?! Gestapowcy też otrzymywali rozkazy!. W tym sensie toczyła się ta rozmowa. Ale tak zazwyczaj unikali

z nami tematów politycznych, a przecież spotykaliśmy ich na porządku dziennym.

W sumie niewiele też kontaktów mieliśmy i z Rosjankami...

Nie chodziło tylko o względy fizyczne - o nasze niedożywienie...

Baliśmy się ich, bo poszła taka fama... Strach padł na nas przed syfilisem, krótko mówiąc. Może i jaki chłopak przydybał jakąś dziewczynę - niech będzie syf, byle tego! ... Wiem tylko, że babki, których w obozie było kilka, zwłaszcza rosyjskie repatriantki, miały powodzenie... Bractwo się garnęło, nawet małżeństwa zawierali, z księdzem - jak najbardziej.

Och, ta mentalność Ruskich!... Któregoś dnia przyjechał do nas komendant w stopniu majora, może pełnił jakąś inspekcję, bo - zdaje się - był komendantem nad kilkoma obozami. Pyta się - No jak? Choroszo? A my na to - Jakie tam choroszo! Chłopaki od razu szum robią - Kiedy do domu wrócimy?! A w bani siewodnia - pyta Ruski - byli?, Tak, byliśmy. A bielio pouczyli? Tak, dostaliśmy. Myło dostaliście? Tak, dostaliśmy. No to choroszo - mówi. Tylko że - jeden z naszych dorzucił - gospodin major, wody nie było! A!, o to ja was nie spraszijaju... /ja się was o to nie pytam/... Trzeba tu dodać, że w bani były nawet krany! A woda? Były takie chwile, że nie leciała albo leciała bez przerwy...

Teraz może trochę o ucieczkach.

Pamiętam, pierwsza ucieczka miała miejsce jeszcze w Charkowie. Dwóch kolegów uciekało, lubelaków: Zygmunt Łyżycki ps. "Łyżwa" i Marian Zarzycki ps. "Kalet". Obok budynku, w którym mieszkaliśmy było poddasze. Przywieźli tam dużo drzewa. My powróciliśmy ze spaceru a koledzy tam zostali, ukryli się, doczekali nocy, przeleźli przez dziurę w płocie, a tam były już prywatne domy. Nawiali... Ale złapali ich po dwóch czy trzech dniach w pociągu. Nawet nie otrzymali specjalnej kary - siedzieli chyba dzień w więzieniu.



Opowiadali, że dostali tam trochę po krzyżu. Prawdę mówiąc była to ucieczka wcale nie przemyślana; później nasi generałowie mieli do nich trochę pretensji o to, że uciekali tak na pałę... A tak przy okazji, warto powiedzieć, że Łyżyckiego wieźli do Charkowa przez Moskwę. Jechał z tymi grupami Polaków, które siedziały w lefordowskiej tiumie. Dopiero chyba po dwóch tygodniach przywieźli ich do Charkowa. Mówiło się, że sowietci szykowali wówczas w Moskwie jakiś większy proces, z którego potem zrezygnowali.

W Riazaniu było kilka ucieczek.

Raz uciekło trzech, w zimę 46/47. Był z nimi kapitan Mickunas. U Śląskiego wyczytałem, że uciekł on wcześniej z niemieckiej niewoli, potem go sowietci złapali i ponownie uciekł. No więc, przecięli druty... Można powiedzieć, że byłem świadkiem tego wydarzenia. Było to około 900 wieczorem. Straszna zadymka, a ja sobie tak chodziłem po placu. Patrzą, podeszli... Koło ubikacji stała taka buda przedzielona na pół; jedna połowa to trupiarnia, druga niby straż ogniowa, leżały dwa węże i to wszystko... Podeszli tam i znaleźli się w cieniu, zresztą zadymka, wiatr bujał latarniami... Patrzą, nagle zniknęli. Nawet się zaciekawiłem, co też z nimi mogło się stać. Na drugi dzień dowiaduję się, że uciekli.

Zenek Biechoński /z Opolu Lubelskiego/ uciekał sam wczesną wiosną 47r. Poszedł po chleb do magazynu, a magazyn - jak już mówiłem - był za bramą. Mówi - Weźcie chłopaki chleb, bo ja nawlewam. I nawią! Udało mu się! Pewnie koleją dotarł do Polski.

Już latem 47 uciekało dwóch: Stanisław Zieliński<sup>ps. "Stam"</sup> /znany w przedwojennym Lublinie bokser/ i Kazimierz Radkowski<sup>ps. "Srapko"</sup> /z KDW Lublin /przeżywaliśmy go "Łoszak", bo na Przemysłowej w Lublinie miał pięknego konia, którego sowietci<sup>"mm"</sup> wymienili (na małego konika/. Też dotarli do Polski. Jechali pociągiem i szli piechotą. Ciekawę, że w czasie obławy na jakiejś stacji rozłączyli ich - złapali <sup>Kazimierz</sup> konia, ale zaraz

go puścili, tyle że już nie mogli się odnaleźć. Najpierw do Lublina przyszedł Stasio. Przez Bug przechodził na piechotę, znad Bugu też przyszedł piechotą; jakaś babka wskazała mu drogę - Tylko niech pan uważa, bo tu Ukraińcy. Szczęśliwie dotarł do Tomaszowa, stamtąd też piechotą, bo się bał jechać, a w Lublinie trafił do Różańskich, potem do mojej matki. Obaj już nie żyją.

Teraz następna ucieczka - jednego lwowiaka zwanego Tońko, oficer - nazwiska nie pamiętam. Miał sporo pieniędzy w depozycie. Dobrze się przygotował. Miał iść do Riazania z pieniędzmi i kupić harmonię. Bojca zaciągnął do knajpy, schlał go i zostawił, a sam w pociąg! I wio! Nawiał, ale nie wiem, czy mu się udało dotrzeć do kraju. W każdym bądź razie do obozu naszego nie powrócił. Zresztą warto dodać, że prawie wszyscy, o których tu opowiadam, uciekli od tego chleba. Szli za żonę po chleb i stamtąd nawiewali.

Był taki facet ze Lwowa; miał tam rodzinę. Też uciekł. I nagle przychodzi do obozu książka podpisana przez niego pseudonimem, pocztą wewnętrzną, bo to już Lwów w ramach wielkiego Związku Radzieckiego. A każda taka przesyłka bardzo nas radowała, bo taki facet znał kilkadziesiąt nazwisk i mógł kogo trzeba zawiadomić. Np. moja matka dopiero uwierzyła, że żyję, kiedy dotarł do niej Stasio Zieliński; msza żałobna jedna, druga, została za mnie odprawiona, gdyż znalazł się świadek mojej śmierci. Już mnie matka opłakała, wszyscy opłakali, koniec pieśni...

Było dużo więcej ucieczek, także z innych obozów, do których po głodówce zostali przewiezieni koledzy. Z obozu w Griazowcu uciekł generał "Wilk"/Aleksander Krzyżanowski,/ dotarł do Wilna. Uciekło ich razem trzech: pilot kapitan Jan Szram-Grodzicki i Andrzej Wasilewski /ps. "Olesiński"/. Grodzicki szybko się od nich odłączył i nie wiem, czy dotarł, czy nie. Ale losy gen. "Wilka" są znane, bo nawet Ślaski to opisuje, tylko że podaje inny

obóz. Slaski pisze, że "Wilk" uciekł z Diagielewa, a ich wcześniej przecież wywieźli do Griazowca, skąd dopiero uciekł. I tak go UB w latach 50-tych wykończyło na Mokotowie ! Slaski pisze w t.VI "Polski walczącej" na s.579 m.in.: cytuję "Obydwaj dotarli do Wilna, gdzie "Wilk" zdekonspirował się i został aresztowany. Władze radzieckie nie zastosowały wobec zbiega żadnych sankcji, tylko z powrotem odesłały do Diagielewa". Nieprawda, bo w Diagielewie po głodówce go nie było. "W niespełna dwa miesiące później został włączony do transportu internowanych w tym obozie oficerów, jako repatriant wyruszył razem z nimi w drogę powrotną do kraju. 4 listopada transport minął granicę radziecko-polską".

Nie wszyscy wytrzymali obóz. Chcę teraz opowiedzieć drastyczną historię <sup>Witka C.</sup> ~~Czesława R.~~ /ps. "Rekin"/. Był moim kolegą w plutonie Kierownictwa Walki Podziemnej. Został aresztowany przez policję kryminalną w maju 44 i w krótko <sup>w trybie</sup> zwolniony. /Poszła o nim fama, że zdradził nas. Dostał na tym tle <sup>w trybie</sup> pomieszania zmysłów. W wyniku tej wpadki podkreślam, że nie wiadomo, czy z jego powodu/ zostało rozstrzelanych dwóch kolegów: Zbyszek Różański /ps. "Dyńia"/ i Jasio Furmanek /ps. "Ali"/, trzeci Mieczysław <sup>les</sup> Zajązński /ps. "Kant"/ w akcji pod Ciecierzynem dostał się do niewoli, a czwartego Niemcy złapali w Warszawie - Tadka Rządca, <sup>M. "Grubony" (ich)</sup> ~~jego~~ też rozstrzelali.

I z ~~Cesiek~~ z tego powodu było bardzo niedobrze. Zajął się nim ks. Piotrowski, któremu zwierzył się, że ma do mnie największe zaufanie, stąd prośby księdza, generała "Marcina" i generała Bitnera, bym się nim zajął, żebym był z nim cały czas i dużo rozmawiał. Któregoś dnia w porę obiadową mówię do niego - ~~Cesiek~~ chodź, to poprosimy kumpli, by wzięli nam obiad. Nie będę jadł - mruknął. Chodź - mówię - to ja podjem. Dosłownie zostawiłem go na chwilę pod salą na korytarzu. Wracam, a on stoi oparty o ścianę



taki bledziutki. Coś ty sobie zrobił ? - myślałem, że sobie żyły poprzecinał. Patrzę - jedna ręka nie! druga ręka - nie ! Ubrany był w kufajkę, rozchyliła się lekko, a tu krew wali z piersi! Coś ty wariacie zrobił ! - krzyczę. A on już leci po ścianie, z ręki wypada mu drut. Ja go na ręce... Zawołałem chłopaków. Do baraku lekarskiego było na szczęście parę metrów, szybko go zanieśliśmy. Przyjął go natychmiast dr Paczkowski /"Wania"/. Czego źeście go nie upilnowali ? - krzyczy. Miał trzy przebiccia, przeponę lekko naruszył. Uratowali go... Później wyszedł ze szpitala, jakoś doszedł do siebie... Mówił tylko - Trzy rany sobie zadałem...

Poprzez cały mój pobyt w obozach, zmarło kilka osób. W Charkowie umarł - jak już opowiadałem - kapitan Jan Gołąb. W Riazaniu umarł z naszej grupy charkowskiej delegat rządu na powiat lubelski Jan Chmielewski /ps. "Zgrzebniak"/ - umarł na samym początku w styczniu albo w lutym, śmiercią naturalną.

Było kilka pogrzebów. Zwłoki wywozili daleko za obóz, i do ziemi...

W czasie pogrzebu asystę pełniło dwóch - trzech najbliższych przyjaciół zmarłego, których wyznaczała komendantura sowiecka. Sam nigdy nie brałem udziału w pogrzebie i niewiele mogę powiedzieć na ten temat.

Teraz system kar.

Jeden barak nazywał się KPZ - kamera chwilowego zatrzymania, tam się mieściło także NKWD. Tam wzywali na przesłuchanie, przychodziła tam poczta, paczki.

Raz siedziałem w bunkrze... było to zimą. Wyszedłem sobie przed barak, no i tak stoję. Idzie wewnętrzny patrol - Co tu robicie ?! Oddycham-mówię - powietrzem. Co ze mnie wariata robicie?! - już zły.- Do bunkra ! Było to małe pomieszczenie wykopane bezpośrednio

dnio w ziemi, za pojedynczym ogrodzeniem, żadnych desek, ziemia tylko i na niej się siedziało. Dali jedno polano, mokre, do palenia... Nic się nie paliło. Wysocy to musieli chodzić schyleni - tak było nisko. I to w kółeczko tylko, bo było ze dwa na dwa metry, jakieś osiem kroków. Bunkier był czymś w rodzaju "klubu". Jak się tam zebrało towarzystwo, to dopiero zaczynała się gadka!... Zresztą nocą sowieci słabo pilnowali, bo wartownik od bunkra siedział zazwyczaj gdzieś przy telefonie... Chłopaki podkradali się - przynosili papierosy, kawałek chleba - no, jak to nasi, o kumplach pamiętają.

Szło się do bunkra za głupstwa; któryś tam nasiusiak na ścianę i go złapali, albo krzyczał za głośno, albo znaleźli coś w czasie rewizji.

Jeśli natomiast szło się na przesłuchanie, to już siedziało się w KPZ-ecie. Były tam cele, osobne pokoje... Ja, na szczęście, w Riazaniu byłem przesłuchiwany tylko raz i to nie w KPZ i niewiele wiem, o co tam pytali, bo ci, którzy stamtąd wracali, nie bardzo chcieli mówić... Do przyjemności to nie należało.

Zdarzało się też, że zabierali facetów do więzienia, już nigdy stamtąd nie wracali... Ale za co? - nie wiem; czasami tylko się domyślaliśmy. Napewno NKWD miało o wielu z nas dużo dokumentów: czy któryś np. był dowódcą oddziału czy plutonu... Posądzali o zabijanie sowieckich żołnierzy, prowadzili śledztwo, brali za twarz - jak to się mówi i do więzienia. Nie wierzę w żadne zabójstwa popełnione na żołnierzach radzieckich. Raczej się pomagało...

Ja już mówiłem... Za przykład brałem Majdanek. Z okien mojego domu widać było ten teren... Jeńców radzieckich Niemcy przyprowadzali do budowy obozu, ginęli oni jak muchy. Siedzieli w dołach, na polu... Pomagało się im jak kto potrafił. Wczołgiwaliśmy się tam, pamiętam - pod taki czerwony budynek, w którym trzymali część jeń-

ców radzieckich i zakopywało się jedzenie, w ziemi - kawałek chleba ze smalcem owinięty w gazetę. Później Rosjanie połapali się, że zakopujemy tam jedzenie. Z początku rzucali się na te zakopane posiłki, a wachmani od razu ich rozstrzeliwali. A później człowiek słucha przez trzy lata, że jest bandytą !!! To najgorzej bolało... Bo ja wszystko rozumiem, walkę polityczną, że jeśli ktoś dochodzi do władzy, internuje ludzi, których uważa za przeciwników. To można, byle po ludzku ! Ja wiem, że bandytą nigdy nie byłem, i wszyscy o tym wiemy ! Tego przebaczyć im nie mogę... Zawsze to mówiłem...

Kiedy razem z dowódcami naszymi uznaliśmy, że nasz problem nie jest rozstrzygnięty, że wszystkie postulaty, które wyskaliśmy wielokrotnie, pomijane były milczeniem, kiedy nie otrzymywaliśmy żadnych odpowiedzi, albo odpowiedzi kłamliwe, postanowiliśmy po przegłosowaniu przez zdecydowaną większość, głodować.

Głodówka rozpoczęła się w lipcu 47r. Było trochę wyjątków; w każdym tłumie znajdą się różni, tak samo i tam znaleźli się tacy, którzy powiedzieli, że głodować nie będą - i nie głodowali. Zresztą staraliśmy się nie zwracać na nich większej uwagi. Ale ci ludzie sami przegrali i... ponieśli karę - była to chyba jakaś kara Boska...

W naszym towarzystwie był przedwojenny senator p.Osiński mający wówczas <sup>okwto</sup> ponad 80 lat. Siwiutki jak gołąbek, pod rączkę musieliśmy go prowadzić... Po co go więzili ? - tego do dzisiaj nie pojmuję ! Jak się na niego patrzyłem, łzy same w oczach stawały. Nie pamiętam, czy wrócił do kraju. Poszła do niego specjalna komisja z generałem Bittnerem na czele. Prosimi, by jadł, bo jest całkowicie zwolniony z głodówki. Nie !, jak wszyscy - mówi dziadek - jesteśmy Polakami, wszyscy głodujemy. Nie przeszłoby mi jedzenie przez gardło...



Problem głodówki stanął na tym, tak mniej więcej napisali generałowie: jeśli jesteśmy więźniami, to niech nas postawią przed sądem, polskim sądem i niech nas skarżą, niech nam powiedzą, ile i za co mamy siedzieć. Jeśli jesteśmy niewinni, to proszę nas zawieźć do kraju. Takie były żądania.

W 1-szy dzień było jako tako. Na drugi dzień zaczął się ruch władz lokalnych. Zaczęli koło nas chodzić, ale dni upływają, trzeci, czwarty, siódmy dzień... Wszystkich generałów wzięli za twarz i wywieźli do innych obozów - nie wiem dokładnie dokąd. /Jest to dokładnie opisane w książce Żenczykowskiego "Polska lubelska", Paryż/.

Wiem o jednym takim łagrze w Skopinie, w którym zbierali przewlekłe chorych, np. na gruźlicę. Mój kolega Felek Robak, który mi to wszystko opowiadał, zachorował na gruźlicę i tam go właśnie wywieźli. Tam właśnie generał "Marcin" zmarł w czasie sztucznego, przymusowego karmienia. Siedzieli tam i Niemcy i Rosjanie i podobno Japończycy - wszystko oficerowie. I kiedy oni wszyscy - opowiadał Felek - dowiedzieli się, w jakich okolicznościach zmarł generał Marcin, przedefilowali w szyku pod oknem jego celi, wszyscy zatrzymali się przed oknem i salutowali. To było wzruszające ...

W czasie głodówki wywieźli także oficerów i innych, którzy odznaczali się aktywnością wśród nas, którzy mieli jakiś wpływ ideowy, organizacyjny, moralny. Częściowo później do nas wracali. Przestaliśmy głodować dopiero wtedy, gdy dotarła do nas wiadomość, nie pamiętam jaką drogą, o śmierci gen. "Marcina". Koledzy, którzy siedzieli w więzieniu, nie wiedzieli o tym i dopiero od nas sowieci brali delegację do więzienia, by poinformować ich o zakończeniu głodówki.

Sowieci chcieli jak najszybciej zakończyć tę sprawę, zresztą zapewnili nas, że w ciągu kilku dni wszyscy powrócimy do kraju.

Przyjechał do nas jakiś generał i poinformował nas o tym. I znów nas oszukali - porozwozili nas do innych łagrów i tam siedzieliśmy jeszcze kilka miesięcy. W Charkowie to samo nam mówili... Och, to takie krętacze, kiwacze !...

Ci, którzy nie głodowali z nami, jak już wspomniałem, bardzo źle na tym wyszli... Stało się jakieś nieszczęście... Według tej wersji, którą ja znam, zatruli się substancją do konserwowania mięsa. Widocznie ten środek niedokładnie został obmyty z mięsa. Sowieci chcieli, byśmy zaczęli jeść, więc zaczęli przywozić nam mięso, mleko, zupy mleczne, cuda !... Ci co nie głodowali, jedli po dziesięć porcji. W nocy słyszę jakieś wycie - ktoś wył bo się zatruł. Nikt nie wiedział co się stało, wszyscy leżą, bo kazali nam leżeć w czasie głodówki. Trzeba było tylko wstawać by komuś podać wody. Np. był profesor, staruszek ze Lwowa, tam wykładał na uniwersytecie fizykę /możliwe, że był Ormianinem/, wszystkie wzory wykładał nam z pamięci. Po pięciu dniach głodówki rąbałem drzewo, by zagrzać mu trochę wody. Uderzyłem raz - w głowie się zakręciło, poczekałem i znów uderzyłem. Trochę podgrzałem wody, by napili się jej najstarsi panowie.

Zaraz po głodówce zbiórka. Pierwsza grupa wyjeżdża do kraju. Ten i ten jedzie, tamten zostaje. A czemu ten, a nie tamten ? Ruch się zrobił w obozie. Jedziemy do kraju - tak nam stale mówią. Porobili grupy, wszystko błyskawicznie. Parę dni i obozu nie ma ! Tylko słychać: Na rodinu, Doswidania. Ja ci dam doswidania !!! Żeby mnie Bóg ostrzegł, żebym tu nawet jako turysta nie przyjechał!

A ja..zostałem, wraz z grupą, która nie pojechała ! Wszystkich moich kumpli wzięli, a ja, Boże mój ! sam jeden ! Została nas niewielka grupka. Ze znajomych został tylko krawiec, Zdzicho Nowacki. Nawet w kuchni nie miał kto pracować.

Przychodzą - grodzą ! Patrzą - Niemcy ! Z tyłu znów barak ogrodzili - znów Niemcy... A my w środku, w jednej izbie się mieściliśmy. Niemcy patrzą na nas, my na nich, ale nie gadamy. Raz - pamiętam wyszedłem sobie na słoneczko, by się ogrzać, leżę sobie... Nagle słyszę - Heer, Heer... Patrzą - w moim wieku Niemiec. Coś tam chce zahandlować, pyta czy mam mundur do sprzedania. Ja do niego trochę po polsku, trochę po niemiecku.... Ale jakoś się dogadaliśmy. Na co ci mundur ? - pytam. Cywilne ubranie lepsze. A on, że nie, bo by go niemieccy oficerowie pogonili i za mordę. A obdarty był, jak cholera ! Żal mi się go zrobiło - poszedłem do chłopaków. A daj mu - mówią - są tam nasze ciuchy, my i tak zaraz do kraju wracamy. I dałem mu taki mundur jak mieli lotnicy, jak Schutzpolizei i czapkę austriacką. Pyta się, ile zapłacić. Nic od ciebie - mówię - nie będę brał, masz na pamiątkę. Aż mu łzy w oczach stanęły - Danke, danke ! Nigdy tego nie zapomni, że Polak dał mu mundur, powiedział. Pyta się mnie - Czemu was tu trzymają ? No bo żeśmy się z wami bili - jakoś mu to wytłumaczyłem, bo nie zrozumiał, trochę na migi. Wreszcie zrozumiał... Zaczął opowiadać, że jego ojciec - krawiec, że poszedł do wojska o rok wcześniej... Mówił, że oficerowie niemieccy, ci polityczni, których Ruscy chyba szykowali do NRD, opowiadali im o nas, że jesteśmy polskimi bandytami, że mordowaliśmy radzieckich żołnierzy.

Niedługo - wywożą. Do Riazania. Przy tych pięknych pałacach-tiurmach na bocznicę wsadzili nas w dwa wagony, w trzecim wagonie był magazyn, kuchnia i bojcy, którzy z nami pojechali. Wagony już pootwierane... Można było wyjść, porozmawiać...

Akurat Ruscy obchodzili 800-lecie Moskwy i po drodze dołączali z darami dla Moskwy - taki ich zwyczaj. Z Kaukazu wagony z bydłem, jacyś kołchoźnicy, ze dwa-trzy wagony owoców z południa, jakieś



*sanitarki*

Z fabryki samochodów. Z sanitarkami jechała grupa fajnych dziewczuch z południowych republik. Takie czarnule, ech ! Rasowe takie babki !

Jak wiara zaczęła się rozglądać, co by tu zorganizować ! ... A nam dali te suche ryby, którymi można było gwoździe wbijać. Nawiązałem je na sznurek i wywiesiłem za okno. Patrząc - nie ma, na dworcu ktoś ukradł...

Chłopaki robili różne interesy... Jeszcze przed Moskwą na targu w jakimś miasteczku wpadł i mnie niezły interes. Patrząc, stoi babuszka, liczy się tam wszystko na stakany. No, babuszka, skolko taki stakańczyk soli ? pytam. Ze dwa ruble chyba chciała. A pokupisz ode mnie po 50 kopiejek - pytam - jak przyniosę za stakan ?. W naszym składzie jechał wagon woli, sypała się, wylatywała między deskami. Wziąłem zagłówek, wytrzepałem, wystarczyło tylko przystawić do dziury - nasypałem z 10 kilo. I do babuszki. Oj, ale to trzeba liczyć - mówi. A ja na to - Sto stakanów tu jest ? Może jest... A dziewięćdziesiąt jest ? Jest. Za handel solą zarobiłem czterdzieści pięć rubli ! To był majątek ! No to idę robić zakupy. Kupiłem chleba, sera i wędliny. Chciałem też kupić wódki aby z kolegami wypić z radości. Myślałem, że mi sprzeda w butelce, a ona mi stakan nalewa. Nie, to ja nie chcę, tu mi nalej w flaszkę. Ja nie mam flaszkę - mówi babuszka. Gdzieś tam znaleźliśmy flaszkę i nalała mi ze trzy stakany wódki. Poszliśmy do Gruzinek od sanitarek... Przyniosły owoce. Jak zaczęliśmy śpiewać ! Aż przyszła żandarmeria - Co wy tu robicie ?!. Szum, nas do transportu. Takie to było nasze pierwsze radosne „pijanstwo”...

No i dojechaliśmy do Moskwy. Postawili nas na Białoruskim Wokzale /Białoruskim dworcu/. Przed nami stadion, na którym odbywały się wyścigi konne, na takich małych wózeczkach. Któryś rzucił-

No to chłopaki teraz w cug na Moskwę ! I poszliśmy na Moskwę !  
Bojcy z konwoju zostali - kto by tam się nimi przejmował !

Znów któryś zaproponował - idziemy do ambasady polskiej !  
A jakże poszli... To tak - mówią - tu Polacy jadą, żołnierze,  
akowcy, cholera, chłopaki chorzy... To wy nawet nie przyszliście ,  
nie powitaliście nas na dworcu!? Nie zapytaliście się, cholera,  
czy nam papierosa nie brakuje ? ! I w kilku szum w tej ambasadzie  
zrobili, że hej ! Oni, że nic nie wiedzą, że nic nie słyszeli...  
Zachciało nam się jeść - więc wstąpiliśmy do restauracji.

Restauracja, jak Boga kocham, piękna, duża... Wszędzie  
puchy... Przychodzimy - nic. Ale patrzą się na nas te kelnery...  
A my z fantazją ubrani... Ja miałem spodnie z koca, elegancko  
zapinane, kurtkę bettle-dressową, elegancką furazerkę z orzełkiem  
zrobionym w obozie, z koroną /piękny orzełek z duralu/, biały  
kołnierzyk... Chłopaki z fasonem, oczywiście jak na warunki obozo-  
we. Niektórzy mieli zapinane mundury. Każdy przecież coś zbierał  
na tę chwilę, jak będzie wracał do kraju; to tę koszulę trzymał,  
a sam chodził bez koszuli, trzymał ją na tę godzinę wjazdu do  
ojczyzny !

Przychodzi kelner - Towriszczi ? ... A któryś z chłopaków-  
Kakij ja tobie towariszcz ? No ! jaki ? ! Ja jestem pan, polski  
pan ! I porzausta dla mienia, bo ja jestem inostraniec ! Skłonił  
się - Izwienitie... Kultura wysoka, Bracie ! A tu patrzymy -  
towarzystwo wyległo, kelnerzy...

Zamawiamy, zamawiamy... trochę bractwo wypięło! Prosimy  
rachunek, złożyliśmy się, ale jeden mówi - Trzeba mu dać więcej,  
zobaczcie jaka to bieda ! Chyba daliśmy mu ponad sto rubli, a to  
był tam majątek. Jak on się doliczył, ile mu dajemy, to natychmiast  
wszyscy wyszli - kuchciki, kucharze, jacyś stolarze, każdy, kto

tam był. Wyszli i się nam kłaniali - i doswidania, i porzausta...

A myśmy sobie elegancko wyszli i poszli na dworzec...

Pozostali nas witają - Gdzie żeście byli ?! Tu z ambasady przyjechali, papierosy przywieźli, a was nie było ! A my na to - Co tam papierosy ! Myśmy zwiedzali Moskwę i zabawiali się, a teraz idziemy spać!

Staliśmy na tym dworcu całą noc. Widzieliśmy jakiś pochód z czerwonymi sztandarami ... wszystko ogromne ... tylu sportowców... wszystko wielkie !

Wreszcie wyjechaliśmy z Moskwy i na Smoleńsk, cały czas sami ; Doczepiali nas do jakichś wagonów, ale ludzi żadnych innych nie wieźli. Tak jedziemy, Smoleńsk za nami, a tu nagle stajemy - mała stacyjka, jakiś baraczek - Katyń ! Przeszedłem na drugą stronę wagonu, drzwi otwarte /zresztą przez cały czas/, patrzę - takie niewielkie zbocze góry, na nim las, a wśród drzew duża willa. Od razu sobie przypomniałem identyczny widok, kiedy Niemcy wydawali propagandowe zdjęcia o Katyniu. Z nich dowiedziałem się, że właśnie w tej willi mieszkali NKWD-ziści, którzy rozstrzeliwali polskich oficerów, ten sam widok... No więc stacyjka w dole, po skarpie stamtąd braliśmy wodę, dalej znów zbocze zarośnięte lasem... Chłopaki - mówię - to Katyń ! Wszyscy powychodziliśmy z wagonów popatrzeć, zdjęliśmy czapki i tak staliśmy w skupieniu, ale nigdzie dalej nie chodziliśmy. Parowóz wody nabrał i pojechaliśmy... Jedziemy - Stołpce, Baranowicze. Jak zobaczyliśmy Stołpce, to jakbyś panie, Polskę zobaczył ! Chłopaki już zaczęli płakać...

Był już wrzesień... Dojechaliśmy do Brześcia... A tu znów do obozu ! Mętlik jak cholera ! Niemców bardzo dużo, tzn. Polaków, których na siłę wzięli do armii niemieckiej. Mnóstwo ludzi z innych obozów, którzy nie bardzo chcieli opowiadać... Widocznie modlili się tylko, żeby prędzej do kraju... Byli i tacy, którzy całą wojnę



przesiedzieli w obozach i tacy nikomu nie będą się spowiadać...  
Wystraszeni...

Któregoś dnia wywieźli nas, grupę z dwudziestu chłopów, do kopania ziemniaków pod Żabinkę. W dawnym naszym majątku polskim, teraz gospodarstwo przejęte przez NKWD, nad samym Muchawcem, koło kanału Prypeć-Bug.

Wszyscy pojechali do kraju, a myśmy zostali na tych ziemniakach. Spaliśmy w stodole - zimno jak cholera! Zamiast słomy dali nam gałęzie do utwardzania brzegów kanału.

Poszliśmy się kąpać nad Muchawiec, choć to już był październik, ale przecież jak zobaczyliśmy wodę... A tu jakiś skurczybyk wyskoczył, jakiś Ukraińiec, cywil, pewnie z obsługi tego kanału - Job twoju mać, ja was zastrieliu ! I chciał do nas strzelać, a my mu niezłą wiachę... przyleciał jakiś facet z obsługi majątku, też go wyzwał i tyle.

A jak człowiek spragniony był za kąpielą, Ciało, jak poczuło wodę, to jak raj na ziemi ! Przecież w obozie, jak człowiek wylał ten szaflik, to stał na lodzie, a woda albo ciepła, albo zimna...

Taki był - pamiętam - głupi obozowy przepis... Zaziębiłem się i do szpitala mnie skierowali. Ruska siostra - Idi do bani. Poszedłem, bo myślałem, że się wykapię, a tu... lód. I tak stoję na tym lodzie, bo znów ubranie do odwszalni musiałem dać - stał taki wózek z konstrukcją zw. katusza, załadowany całym ubraniami i do ogrzewczego pomieszczenia.

I kiedy innym razem zachorowałem, już do bani nie poszedłem. Pytają - w bani byłeś ?! Byłem.

No więc wykopaliśmy te ziemniaki, wracamy do Brześcia - chłopaków nie ma. Obiad zjedliśmy, przyszedł jakiś kapitan - Zbiórka ! Na stację ! Jedzcie do kraju. To my raz, trzask i do wagonów. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem polskiego kole-

jarza... Przeładowywali tam wagony z Polski. Widziałem, jak wyglądał eksport węgla z Polski - wjeżdżały wagony na wzniesienie i wszystko od razu sypali do ruskich wagonów, które stały niżej na szerokich torach; tak z pół dnia na to patrzyliśmy. Wreszcie wsadzili nas do wagonu i jeszcze priewierka, ostatnia... Czytają - Pietrzak ! Ja nic od was nie wywożę. I jeszcze ten kapitan NKWDzi- sta na koniec - Dlatego tak szybko was załadowaliśmy - dobrze mówić po polsku - bo jest już następny transport waszych kolegów i trzeba było zrobić dla nich miejsce. Dziwnie tak mówić, bo my akurat zajmowaliśmy dużo miejsca ! Było nas ze dwudziestu, a obóz na dwa ty- siące ! To jakie my tam miejsce zajmowaliśmy ? Ale tak powiedział.

Pozamykali wagony. Siedliśmy w tej ciemności. Cholera, jeszcze człowiek nie wie... Cisza jak makiem zasiał. Nikt nic nie ma do po- wiedzenia. A jak któryś coś powiedział, to zaraz - Zamknij mordę ! Cicho siedź !

Wreszcie rusza pociąg ! Jest most ! - któryś krzyczy - chłopaki, jesteście na Bugu ! Otworzyliśmy drzwi, bo się okazało, że tylko przymknięte, i któryś zakomenderował - Baczność ! I zaczęliśmy śpiewać "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród" ! Bracie ! jakżeśmy zaczęli płakać, jak żeśmy zaczęli płakać !... Bo jaka to była chwila wzruszająca - nigdy jej nie zapomnę !

Przyjechaliśmy do Terespoła. Była już ciemna noc. Przychodzi jakaś pani i pyta o nazwisko; pochodziła ze Lwowa, miała tam u nas syna. Był z nami, ale wywieźli go do innego obozu. Proszę pani - mówię. Niech pani będzie uprzejma cierpliwie czekać. Był w obozie, znamy go, opisaliśmy go - wszystko się zgadza. To niech pan<sup>owie</sup> mówi do mnie <sup>z</sup>powol<sup>o</sup>, mam taki mały poczęstunek. I jak nam zaserwowała kapuśniak i każdemu po porcji wołowiny ! Popatrzyliśmy się po sobie i jak zaczęliśmy się śmiać... Czemu panowie się śmiejącie ? Jak jej opowiedzieliśmy o obozowym kapuśniaku, to z nami zaczęła się śmiać.

Dali nam świeżutki chleb, polski bieluński chlebek, jak to w Polsce !  
Zaraz człowiek Polskę czuje... Żołnierze chodzą, witamy się ...  
Z radości nie wiem, co by człowiek zrobił !

Przyjechaliśmy do Białej. Położyli nas w szkole na siennikach.  
Mieścił się tam Państwowy Urząd Repatriacyjny. Poszliśmy spać.  
Jeszcze przed snem dali nam sos z makaronem, całe kawałki mięsa  
pływały. Jak sobie wrąbałem ! ...

Rano wstaliśmy najedzeni, wypoczęci. Przylatuje kolega i mówi,  
że spotkał swojego kumpla z obozu, który powrócił z wcześniejszą  
grupą. Powiada, że ma restaurację. Co ?! Restauracja ?! Można  
coś zjeść ? No to lecimy - Dzień dobry. Dzień dobry. Jest szef ? -  
pytamy kelnerki. Jest, a czego panowie sobie życzą ? Niech pani  
poprosi szefa. A panowie skąd ? Ze Związku Radzieckiego ! O !,  
proszę pana - mówi - to trzeba firmę zamykać ! Jak nas zobaczył -  
Zamykać drzwi ! Jak ci pęto kiełbasy na gorąco przyniósł, chleba  
i musztardy ! Jak zaczęliśmy wspominać ...

Odnaleźli nas kumple i wołają, bo jakaś pilna sprawa.  
Poszliśmy - akurat zdjęcia nam na punkcie robili. Siedzę przed apa-  
ratem, a tu wchodzi młody porucznik z UB. Nie wiedziałem co to jest  
UB, ale zaraz mi powiedzieli, że to polskie NKWD. No więc wchodzi  
ten z UB, zalany i robi sprośne uwagi, to ja mu YYYY ! - wywaliłem  
język i tak na fotografii zostało.

Dostałem ten dokument /fot.10 załączona/ i mówią do nas, a to już  
takie socjalistyczne formy obowiązywały - Towarzysze, wybierzcie  
spośród siebie komisję, która będzie odbierała i dzieliła dary.  
No i mnie wybrali. Wydawali nam po tysiąc złotych, jeśli ktoś nie  
miał butów - to też dawali. Z unrowskich paczek nam, z komisji, dali  
po całej paczce, reszcie po połowie; ułożyłem sobie wszystko w wa-  
lizce... Ta walizka to cała wielka historia. Dorobiłem się jej jesz-  
cze w Charkowie, z puszek po konserwach /fot.9 załączona/. Wszystko



miałem - nawet pudełeczko na mydło ... Był taki Tadzio Lalka i Zdzicho Szewczyk - obaj z Lublina. Ta walizka to w zasadzie pomysł Zdzisia <sup>a wykonanie Tadeusza</sup> Miałem walizeczkę elegancką - no co ! - fason był.

Wieczorem robią dla nas przyjęcie. Był ktoś z Warszawy, przedstawiciel urzędu repatriacyjnego i nas trzech. Oni tam o pierdołach rozmawiali, a ja z boczką trzask ! - sardynkę otwieram. Bach, bach, herbatką popijam. Znow trzask! Pasztecik raz ! Był taki rejwach, nagle cisza ! Wszyscy się na mnie patrzą, a koło mnie sterta puszek pustych ... Aż się zakrztusiłem. Niech się pan nie krępuje... Jak tam było w Związku Radzieckim ? No, niech pan popatrzy ! - odpowiadam.

Już po powrocie do domu, tak na trzeci - czwarty dzień, matka robiła pranie i ugotowała krochmal. A ja - biała bałanda ! Wtrusiałem cały ! Chleba wziąłem kromę... Matka mówi - To nie słone przecież. Mamo ... Trzy lata jadłem i słone i niesłone ! Przecież tam masz jedzenie - matka na to - Cały krochmal zjadłeś ! Do dzisiaj siostra to wspomina ...

W Lublinie kazali mi się meldować na milicji, na trzecim komisariacie na 1-go Maja. Kilka razy się meldowałem, ale któregoś dnia patrzę - kolega z okupacji, a teraz porucznik MO. Nie przychodzi mówić - sprawa załatwiona.

x x x

Na zakończenie chciałbym powiedzieć jedną zasadniczą rzecz.

Jak już powiedziałem kilkakrotnie, nie mam do narodu rosyjskiego jakichkolwiek pretensji, tylko do tych ludzi, którzy byli u władzy, od których zależało to wszystko, cała gehenna narodu polskiego! że oni do takich rzeczy się dopuścili, że im na to pozwolono !

Dzisiaj minęło już tyle lat... Każdy z nas zdał już chyba egzamin w stosunku do tej rzeczywistości i chyba ci ludzie doszli do wniosku, że jesteście ludźmi uczciwymi i rzetelnymi. Pracowaliśmy rzetelnie, nikt z nas nie był złodziejem, uzupełnialiśmy swoje wykształcenie, wychowaliśmy nasze dzieci... I dlaczego dzisiaj nie mamy mówić o tych wszystkich sprawach? To są fakty historyczne, które przeszliśmy!

Naród rosyjski jest dobry, ale pod jednym warunkiem - jeśli rozmawiał pan z jednym Rosjaninem. Jeśli był z drugim, nawet z żoną, jego stosunek się zmieniał. Inni byli starzy, diametralnie mieli inny stosunek do rzeczywistości niż młodzi, ci byli po prostu całkiem otumanieni...

Co mi pomogło przeżyć? Przede wszystkim ogromna wiara w Boga, Jedyne, kochanego, który zawsze był tą odskocznią, do którego człowiek zawsze się zwracał. Najczęściej zwracałem się do Niego w takich cichych wieczornych rozmowach. Słyszałem... wielu było takich ludzi jak ja... Westchnienia, nie raz słowa się słyszało wypowiedziane przez sen albo nie przez sen, tylko w jakiejś ekstazie, wspomnieniach o domu... Było różnie. Pamiętam takie wydarzenia. Wieczorem leżę i tak myślę o domu, modlę się i czuję w pewnej chwili, że coś ciepłego padło mi na twarz. Chwytam to, patrzę przy okienku, bo chyba księżyc wtedy świecił, a to krew. Nie wiedziałem co się stało, ale rozglądam się, a trzeci czy czwarty ode mnie, taki Stasio, kręci się - żyły sobie przeciął. Szumu narobiłem, błyskawicznie zanieśliśmy go do szpitala - przeżył.

Z nim to była ciekawa historia... W czasie głodówki, tak na piąty czy szósty dzień zaczął jeść, bo był chorowity chłopak. Ale nikt o to nie miał do niego pretensji... Później opowiadał, że coś go tak ogarnęło: matka mu się zjawiała i mówi do niego - Synu, dlaczego ty?! Koledzy twoi... Miał takie widzenia.

Ogromny wpływ na przeżycia miały rozmowy z naszymi starszymi kolegami; czy to dowódcami, z którymi bardzo dobrze żyłem, czy z księżmi, zwłaszcza z ks. Piotrowskim, który podtrzymywał mnie na duchu, wygłaszał dużo nauk moralnych. To wszystko wpłynęło na to, że powróciłem w nienajgorszym psychicznym stanie.

Co tu dużo mówić - przeżycia obozowe odegrały w moim życiu szczególną rolę.

Najwięcej mnie bolało nie to, że siedziałem, ale ich uwagi - Ty bandyto ! - Ty bandyto ! Jakim ja byłem bandytą, ludzie kochani ! Przecież ja miałem dwadzieścia lat jak mnie wzięli, Wiem, że 21 lat skończyłem w obozie. Smutna to była dla mnie rocznica... Z okazji urodzin, na 1 czerwca, kolega Danek Piątkowski zrobił mi ryngraf - inchrustowany, w środku Matka Boska. Przeznaczyłem go dla mojej Matki. Życzyła sobie, że kiedy umrze, mam Jej to do trumny włożyć - i tak się stało, zgodnie z Jej życzeniem. Było tam napisane: Kochanej Matce w dniu uzyskania pełnoletności. Olek.

I taka była moja "przygoda" z NKWD. Nie mówię, że ze Związkiem Radzieckim, bo tam narodów jest wiele... też jakoś walczyli i walczą.

Kiedyś Józef Piłsudski powiedział; że "Żołnierz żyje i walczy dla wszystkich, podczas gdy wszyscy inni walczą o swoje jedynie interesy".

Tak można to wszystko mniej więcej streścić, bo ogólnie rzecz wzięwszy to jako Ojczyzna, jako Polska, wyszliśmy jak Zabłocki na mydle, na tej całej wojnie ! Co zrobić ? !  
Taki widocznie los wypadł nam ...



Z a ł ą c z n i k i

- 1/ Obozowy rozkaz generała Switalskiego w sprawie nadania odznaczeń z 31.10.1947 w Riazaniu /część/.
- 2/ Drewniany ryngraf w kształcie herbowej tarczy na sznureczku wymiary: dł.ok.7 cm, szer.ok.4 cm. OPWD, - góra. W kształt orła z koroną wpisane: AK, skrzyżowane dwa miecze, symbol stopnia wojskowego podoficerskiego. Na dole podpis: Charków. Ryngraf wisiał w sali Nr 7 w Charkowie. Wykonał Kornet /nie wiadomo, czy to wojskowy pseudonim, czy przezwisko obozowe, czy też nazwisko/.
- 3/ Metalowa odznaka, wymiary: dł.ok.3 cm, szer.ok. 2 cm. Wykonana przez Korneta. Zasadniczy pomysł plastyczny przeniesiony z drewnianego ryngrafu. Na odwrocie napis: Rianzań, 3 Maja 1946.
- 4/ Zaświadczenie o ukończeniu przez A.Pietrzaka kursu techniczno-leśnego w Riazaniu. Oryginał wykonany ręcznie, w kilku kolorach.
- 5/ Gryps wysłany jako pierwszy z więzienia na Świętoduskiej w Lublinie. Oryginał na małej karteczce, pisany ołówkiem, bardzo słabo czytelny.  
Tekst podaję za autorem:  
Kochani Rodzice.  
Byłem chory, ale jestem zdrow, tylko słaby. Trzeba jeść.  
Przyślijcie paczkę. Temu, kto odda tę kartkę, trzeba go wynagrodzić. Niech Mamusia da kalesony, ciepłą odzież i może pieniądze. Jestem na Świętoduskiej w więzieniu. Niech Mamusia robi wszystko prędko, bo mogą mnie wywieźć. Postarajcie się znać Kościelna 7 Gieremkowicz, że zdrow i czeka paczki. Jest ze mną. Do tego domu podejść ostrożnie. Olek.
- 6/ List wysłany z Riazania 29.09.46r.  
Tekst czytelny, prócz może końcówki na dole karteczki:  
Ukłony od p.Cieplińskiego.  
i na odwrocie: Antoni Pietrzak, proszę doręczyć pod ten adres Lublin Kraszewskiego 2 /dziel.Dziesiąta/.  
Okoliczności wysłania p.Aleksander nie pamięta; Ktoś inny musiał wysłać list i dołączyć tę karteczkę.

7/ List wysłany z Riazania 25.05.47r.

Jestem zdrow i wiedzie mi się nieźle. U nas życie płynie po staremu, bez większych zmian. Ja teraz pracuję w ślusarni i za pracę dostaję więcej żywności. Kochani, podziękujcie pani Nowackiej za pozdrowienia i za wiadomości o was. Te skromne wiadomości są jedynymi, które posiadam o was. Spróbujcie napisać wspólnie list do nas na adres Zdżicha Nowackiego - też krawiec/, to może prędzej otrzymam. Ciekaw jestem, co słychać u was, jak żyjecie, co porabiacie. Proszę was, spełnijcie moją prośbę. Kończę, zasyłam ukłony dla pani Nowackiej, Litwiników i wszystkich znajomych. Mamusiu, napisz mi też coś o kolegach i koleżankach. Co słychać u państwa Chlebickich? Kończę, całuję Was mocno. Olek.

-----

x/ Uzupełnienie p.Olka: Kolega Pietrzyk otrzymał list. Był on krawcem i komendant obozu szył sobie u niego ubranie. I właśnie komendant dostarczył ten list myśląc, że to list do krawca - źle odczytał nazwisko. Zazwyczaj Ruscy nie dostarczali nam listów. Była to jedyną kartką, jaką otrzymałem od rodziny z Polski. *Kartka zainicjował i mi mógł ją pokazać.*

8/ Wiersze napisane przez majora Żegotę /Tadeusz Sztumberk-Rychter, dowódca 27 Dywizji/ na konkurs literacki w Charkowie, przepisane przez p.Olka w obozie rosyjskim sinym atramentem, na papierze z nadrukami w języku rosyjskim na odwrocie.

8 A/ Dwa wiersze zapisane na jednej kartce papieru

Pod Twą obronę

Pozostały na szlaku za nami mogiły  
Milczące, smutne i osamotnione.  
Nieznane ręce na krzyżach wyryły:  
Pod Twą obronę.

Pozostały za nami mogiły i zgliszcza,  
Puste rozłogi, w którą spojrzeć stronę,  
Jako modlitwa, która się nie ziszcza  
Pod Twą obronę.

Pozostały za nami braterskie mogiły  
Żołnierzy noszących cierniową koronę,  
Którzy ofiarowali swe myśli i siły

Pod Twą obronę.

O, Boże ! Wieczne daj odpoczywanie  
i ukoj serca żółcią napełnione,  
Niech sprawiedliwość twa wreszcie się stanie

Pod Twą obronę.

### ZADUSZKI

Przyszedł dzień mglisty, szary,  
Nieme bezlistne drzew konary,  
Senne oślizgłe zimne mary.  
Listopadowy dzień ponury.

Dzień Zaduszny, Święto Zmarłych.  
Cmentarza wrota się rozwarły,  
Nabrzmiałą falą płyną tłumy  
w świat wiecznej ciszy i zadumy.

Tkwia w ziemi krzyże nieruchomo,  
U stóp ich blade światła płoną,  
Leciutki wiatr płomyki pieści  
Lub zwiędłym liściem zaszeleści.

Czasem wśród ciszy szept modlitwy  
Zwiędnie jak chryzantemy kwiat okwitły.  
Milczą umarli, lecz ich święto  
Dla żywych wiecznym jest memento.



8B/

A T A K

Leżeliśmy w tylarierze. Opoдал przed nami,  
Pomiędzy olszyny rzadkimi krzakami  
Nieprzyjacielska w okopie zaległa piechota  
Tak blisko, że wróg w nas granatami miotał.

Na skrzydle w prawo od nas grały cekaemy,  
Na lewo - biły działa, lecz środek był niemy.  
Nagle przez szereg z szybkością rakiety  
Przebiegła komenda: Naprzód ! Na bagnety !

Zerwaliśmy się jak jeden i z okrzykiem: Hurra !  
Runęliśmy, by zakłuć wrażego piechura !  
Chwilę nic nie widziałem - kurz zasypał oczy,  
A potem bez namysłu naprzód żem podskoczył.

Ktoś się obok zwałił, ktoś krzyknął: Ratunku !  
I już byliśmy blisko od ziemnego bunkru,  
Z którego się zerwała fala ognia wściekła,  
I zdało się nam wszystkim, żeśmy u bram piekła.

Na chwilę padliśmy-jak oszołomieni,  
Lecz nagle strumień ognia z miotacza płomieni  
Otoczył cały bunkier. Czarna dymu chmura,  
Nic nie widać, lecz słyszać znów nasz okrzyk: Hurra !

I już bunkier zdobyty, znów biegniemy dalej  
Wśród huku piorunów i pod deszczem stali.  
Jakieś zasieki z drutów. Potym znów okopy...  
Śmierć zbiera swe żniwo - gęsto giną chłopcy !

Dobiegliśmy. W czymś miękkim bagnet się zanurza,  
Padają jakieś ciała. U nóg krwi kałuża.  
Jeszcze jeden wysiłek i - jak bywa często -  
Nie wiedzieliśmy wcale, że to jest zwycięstwo !

Indeks nazwisk i pseudonimów - *Aleksander  
Sietnal*

1. Bytys Piotr ps. "Jerzy Mirski" - legionista, Komendant Miasta Lublina Organizacji Komenda Obrońców Polski. Wydany przez szpicla Henryka Golińskiego w ręce gestapo. Zginął w Oświęcimiu w 1941 roku. str.1.
2. Błoński Kazimierz ps. "Sęp", "Czarny", ppor. Komendant IV Rejonu m.Lublina II Rzutu Wojsk Służby Ochrony Powstania. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Kijów Diagielewo. str.1.
3. Bielecki Ryszard ps."Jastrząb". Żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Żołnierz-ochotnik LWP 12 Pułk Haubic. Przeszedł szlak bojowy pułku od Puław do Berlina. str.2.
4. Biechoński Zenon z Opoła Lub. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry Charków, Diagielewo, skąd uciekł i szczęśliwie dotarł do Polski. str.14,35.
5. Bittner Ludwik ps."Halka", gen.bryg. d-ca 9 DP AK, Okręg Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~deforców~~ w Moskwie. Łagry: Charków, Diagielewo, Skopin, str.15,17, 37.
6. Bieriestniew imię NN, ppłk, NKWD, Kontrwywiad "Smie~~szcz~~". Pierwszy Komendant Łagru w Charkowie. str.16.
7. Całczyński Edmund ps."Poświst", żołnierz AK z okolic Kazimierza n/Wisłą. Obwód Puławy. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagier Charków, więzienie Butyrki w Moskwie. Łagry Diagielewo, Borowicza-Kowanka str.12.
8. Chmielewski Jan ps."Zgrzebniak" "Jan". Delegat Rządu Obwodu Lublin, Starosta pow.Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~deforców~~ w Moskwie,

Łagry: Charków, Diagielewo, gdzie zmarł w 1946 roku. str.14. 38.

9. Chereś Ignacy ps. "Wysocki", podch. BCh, Komendant Szkoły Młodszych Dowódców w rejonie wsi Baraki, powiat Krasnystaw. str.3.
10. Dżugaj Tadeusz ps."Korczak" - d-ca plut. Kierownictwa Walki Podziemnej m.Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie defordów w Moskwie, Łagry: w Charkowie, Diagielewie, Czerepowcu. str.2.
11. Danielski Jan ps. NN dr medycyny, Kierownik Wydziału Zdrowia Delegatury Okręgowej Lublin. Internowany W Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo. Str.14,15,21,33.
12. Damrosz Ryszard ps."Niedźwiedź" , ppor.AK. Okręg Wilno. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań, Diagielewo. Str.22.
13. "Dziunio" - *Rafał Kwieński* nazwisko ~~W~~, ps.NN, Ksiądz Kapelan AK, Obszar Lwów. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry; Charków, Diagielewo.
14. Filipkowski Władysław - ps."Janka". Komendant Obszaru AK Lwów. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry; Charków, Diagielewo, Skopin, str.15.
15. Fulkowski przed wojną pracownik Lubelskiej Wytwórni Samolotów. W czasie okupacji reichsde<sup>u</sup>ntch. W chwili likwidacji kierownik arbeitsa<sup>m</sup>ktu w Opolu Lubelskim. Str.2.
16. Furmanek Jan ps."Ali", żpłnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Aresztowany przez gestapo, rozstrzelany na Zamku w Lublinie w lipcu 1944r. Str.2,37.



17. Grabowski Bolesław ps.NN. Delegat Rządu obwodu Kraśnik /burmistrz/. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry; Charków,Diagielewo. Str.14.
18. Gołąb Jan ps.NN, kpt.Szef bezpieczeństwa obwodu Lublin powiat.  
Internowany w Rosji Sowieckiej w łagrze Charków, gdzie zmarł. Str.16,38.
19. Irbej - Zawadzki Jan ps.NN, kpt. żołnierz AK, okręg Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry; Rianzań,Diagielewo. Str.21.
20. Jaświłko Edward ps.NN,por. Szef Łączności Okręgu Białostockiego AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry; Charków, Diagielewo. Str.15.
21. Kamela Euzebiusz - ochotnik do LWP. Zginął przy zdobywaniu Kołobrzegu i tam jest pochowany. Str.3.
22. Kalwejt Tadeusz ps."Borówka", kpt.żołnierz AK obwodu Zamość Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań,Diagielewo. Str.7.
23. Krawczak Franciszek ps. "Żeliwo", ppor. D-ca żandarmerii 27 DP AK; Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków,Diagielewo. Str.12.
24. Krasucki Edward ps."Zoźza", ppor. oficer sztabu D-cy Dywizji w 27 DP AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków,Diagielewo. Str.12.
25. Kantorowski Władysław ps."Wicher", żołnierz AK Oddziału "Nerwę" Obwód Lublin. Następnie Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków,Diagielewo. Str.14.

26. Krzyżanowski Jerzy - ps. "Szpic", ppor., żołnierz AK Oddziału Partyzanckiego "Szarugi". Obwód Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Stalinogorsk, Diagielewo i inne. Str.20.
27. Korczyński - imię NN, Rosjanin z tzw. białej emigracji, płk. carski. w Diagielewie był wraz z żoną i dwojgiem dzieci/dziewczynka i chłopiec/na tzw. pierewierce. Wywieziony z łagru przez NKWD, zmarł z przyczyn bliżej nieznanych.
28. Kaszubowski Witold - prawdziwe nazwisko Waszkiewicz, lekarz stomatolog, żołnierz AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Riazan, Diagielewo.
29. Krzyżanowski Aleksander - ps. "Wilk", <sup>płk</sup> gen. bryg. D-ca Okręgu AK Wilno. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie na Butyrkach w Moskwie, Diagielewo, Griazowiec, skąd ucieka. Str.21,36, 37.
30. Kornet Zbigniew - ps. "Kornel", prawdziwe nazwisko Forowicz Tadeusz, żołnierz AK Obszar Lwów. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo. Str.22.
31. Kobus Paweł - ps. NN, żołnierz AK, obwód Puławy. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: w Riazaniu, Diagielewie.
32. Lalka Tadeusz - ps. "Biały", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m. Lublin, Oddz. "Brzechwy" a następnie "Pajaka". Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie defordów w Moskwie, Charkowie, Diagielewie. Str.2,50,57. Borowicze.
33. Litwiniuk Jerzy - ps. "Budzisz", podch. żołnierz AK m. Lublin łącznie. Internowany w Rosji Sowieckiej łagry: Charków, Diagielewo. str.19.

34. Lewandowski Jan ps. NN, ppor. żołnierz AK Okręg Wilno.  
Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań,  
Diagielewo. Str. 21.
35. Lisowski Wacław ps. NN, ppor., żołnierz AK m. Lublin.  
Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań,  
Diagielewo, Czerepowiec. Str. 24.
36. Łokuciewski Stanisław ps. "Mały", Kpt. D-ca Oddziału Partyzanc.  
Obwód Janów Lub. Internowany w Rosji Sowiec-  
kiej. Łagry: Stalinogorsk, Diagielewo, Griazowiec  
Str. 2.
37. Łyżycki Zygmunt ps. "Łyżwa", żołnierz AK - Kierownictwo Walki  
Podziemnej m. Lublin. Internowany w Rosji Sowiec-  
kiej. Więzienie defordów w Moskwie, Łagry:  
Charków, Diagielewo, Borowicze. Str. 34.
38. Małek Stefan Ochotnik do LWP. Zginął na froncie. Str. 3.
39. Modzelewski Wacław ps. "Zawada", żołnierz AK, D-ca m. Lublina.  
Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie defo-  
rdów w Moskwie. Łagry: Charków, Diagielewo, Gria-  
zowiec. Str. 14.
40. Mickunas Jan ps. "Sterling", kpt. żołnierz AK, wywiad obwo-  
du Puławy. Internowany w Rosji Sowieckiej.  
Łagry: Rianzań, Diagielewo, skąd uciekł zimą  
1946/47. Był bohaterem ucieczki z obozu jeń-  
ców woj. z Woldenbergu. Str. 35.
41. Nowacki Zdzisław ps. "Mikrus" ~~AK~~, żołnierz AK - Kierownictwo  
Walki Podziemnej m. Lublin. Internowany w Rosji  
Sowieckiej. Łagry: Rianzań, Diagielewo.  
Str. 29, 32.
42. Obara Stefan ps. "Wicek", wychowanek Szkoły Podoficerskiej  
dla Młodzieńców w Nisku. Żołnierz AK - Kierow-  
nictwo Walki Podziemnej m. Lublin. Współprgani-  
zator plutonu KWP, prowadził szkolenie. Str. 1.



43. Okulicki Leopold ps. "Niedźwiadek", gen.bryg., ~~z-ca~~ Komendanta Głównego AK. Aresztowany przez NKWD. Sądzony w czerwcu 1945r. w Moskwie. Zmarł w więzieniu w Moskwie. Str.16.
44. Osiński ps.NN, Kierownik Wydziału Opieki Delegatury Okręgowej w Lublinie, senator. Internowany w Rosji Sowieckiej. więzienie Łefortów w Moskwie, Łagry: Charków, Diagielewo. Str.21,40.
45. Pośpiech Tadeusz ps. "Karol", "Brzechwa", ppor., żołnierz AK, organizator plut. Kierownictwa Walki Podziemnej m.Lublina. Następnie d-ca Oddziału Partyzanckiego na terenie pow.Lubartów /VII pluton 8 pp - CP8/ str.2.
46. Pukacki Franciszek - ps."Gzysm", cichociemny, żołnierz AK, d-ca bat. w 27 DP AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo, Griazowiec. Str.12,17.
47. Pasadyn Józef ps."Józef", Kierownik Wydziału Oporu Społecznego Delegatury Okręgowej w Lublinie. Przedst.Delegata Rządu w Kierownictwie Walki Podziemnej Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo. Str.12.
48. Późniak Ottmar ps."Tyr", z-ca Delegata Rządu Okręgu /województwo/ Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo. Str.12,16.
49. Piątkowski Daniel ps."Krzak", żołnierz AK, Kierownictwo Dywersji Wojskowej m.Lublin. Internowany w Łagrach: Charków, Diagielewo, Borowicze. Str.14,32.
50. Paczkowski Alfred ps."Wania", kpt. lekarz medycyny. Okręg AK Brześć, d-ca 84 pp AK, udział w Powstaniu Warszawskim, D-ca delegacji do dowództwa Armii Czerwonej w celu uzyskania współpracy bojowej z Powstańczą Warszawą. Internowany w Rosji So-

wieckiej. Łagry: w Riazaniu, Diagielewie.  
Str. 21,38.

51. "Potassy" - Węgierski iluzjonista, przyjechał do Diagielewa na występy z obozów jeńców wojennych.  
str.23.
52. Piotrowski Antoni - ps."Prawdzie", Ksiądz Kapelan, żołnierz AK, 27 D~~W~~ AK. Internowany w Rosji Sowieckiej.  
Łagry: Rianzań, Diagielewo. Str.25,37,52.
53. Pietrzyk imię NN ps.NN, żołnierz AK, z zawodu krawiec, Okręg Białystok. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: <sup>Ostanków</sup> ~~Ostanków~~, Rianzań, Diagielewo.  
Str.29.
54. Różański Jerzy ps."Jur", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~defortów~~ w Moskwie, Łagry: Charków, Diagielewo, Borowicze. Str.2.
55. Rusin Czesław ps. "Rekin", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~defortów~~ w Moskwie.  
Łagry: Charków, Diagielewo, Borowicze. Str.2.
56. Różański Zbigniew ps."Dyńia", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Aresztowany w Lublinie w 1944r. i rozstrzelany na zamku. str.2,37.
57. Radkowski Kazimierz ps."Srapcio", żołnierz AK - Kierownictwo Dywersji Wojskowej m.Lublin ~~W~~ (Kedyw) Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~defortów~~ w Moskwie. Łagry: Charków, Diagielewo, skąd ucieka i szczęśliwie dociera do Lublina. Str.35.
58. Rząd Tadeusz ps."Czarny", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin. Aresztowany w Warszawie przez gestapo i rozstrzelany. Str.37.

59. Robak Feliks ps. "Sokół", żołnierz BCh-AK Obwód Radzyń Podl. Okręg Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej Łagry: Rianzań, Diagielewo, Skopin. Str.41.
60. Sztumberg - Rychter Tadeusz ps. "Żegota" mjr, <sup>P.O.</sup> D-ca 27 DP AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. W łagrach: Charków, Diagielewo, Griazowiec Str.12,16.
61. Sławomirski Mścisław ps. "Prawdzie", por. adiutant d-cy zgrupowania 27 DP AK. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo, Griazowiec Str.12.
62. Szewczyk Zdzisław ps. "Siwy", żołnierz AK - Kierownictwo Dywersji Wojskowej <sup>(Kedyw)</sup> ~~AKB~~ m.Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo. Borowicze. Str. 32,50,57.
63. Schram - Grodzicki Jan - kpt.lotn., Delegat Rządu Obwodu Jarosław Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo, Griazowiec, skąd ucieka wraz z gen. "Wilkiem" i mjr "Oleksińskim". Str.33.
64. Szczepkowski Tadeusz - mieszkaniec Lublina, nie należał do żadnej organizacji podziemnej. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań, Diagielewo, Borowicze. Str.23.
65. Switalski Adam ps. "Dąbrowa", <sup>ptk</sup> ~~gen. bryg.~~ Inspektor Komendy Głównej AK na Okręg Lublin, <sup>d-ca 3 DP AK</sup> Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie defortów w Moskwie. Łagry: Charków, Diagielewo, Skopin, Griazowiec, Str.15.
66. Szlapin imię NN, mjr NKWD, 2-gi Komendant łagru w Charkowie Str. 16, 17,33.



67. Tumidajski Kazimierz - ps. "Marcin", w Rosji występował pod nazwiskiem Grabowski, ~~gen. bryg.~~<sup>plk.</sup>, Komentant Okręgu AK Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~defortów~~ w Moskwie. Łagry: Charków, Diagielewo, Skopin gdzie został uduszony w czasie przymusowego karmienia. Str.15.
68. Tymosławski Michał - ps. NN, ppor., pilot, Okręg AK Lublin. Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Rianzań, Diagielewo. Str.23.
69. Węgliński Bronisław - ps. "Karos", ppor. pilot, oficer szkolenia w Rej. I Bch i KB w obw.14 /pow.Krasnystaw/ str.3.
70. Wyźlic Bronisław - ps. "Lew", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublina, a następnie Oddział Partyzancki "Uskoka". Internowany w Rosji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagielewo, Borowicze. Str. 6, 14.
71. Werman Wacław - ps. "Feding", żołnierz AK z okolic Kazimierza, obwód Puławy, radiotelegrafista. Internowany w Rosji Sowieckiej. Charków więzienie Butyrki w Moskwie, Rianzań, Diagielewo, Borowicze-Kowanka. Str.12
72. Zarzycki Marian - ps. "Kalet", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m.Lublin, Oddział Partyzancki "Brzechwy". Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie ~~defortów~~ w Moskwie Łagry: Charków, Diagielewo, Borowicze. str.34.

73. Zieliński Stanisław - ps."Stan", żołnierz AK - Kierownictwo Dywersji Wojskowej /<sup>Kedyw</sup> ~~KD~~ m.Lublin.  
Internowany w Rosji Sowieckiej. Więzienie defortów w Moskwie, łagry: Charków, Diagi-  
gielewo - skąd ucieka i szczęśliwie do-  
ciera do Lublina.
74. Zależyński Mieczysław - ps."Kant", żołnierz AK - Kierownictwo Walki Podziemnej m. Lublina.  
W czasie akcji pod Ciecierzynem dostaje się do niewoli.  
Rozstrzelany na Zamku w Lublinie w lip-  
cu 1944r. Str.37.
75. Żabicki Henryk - ps."Chojnerek", żołnierz AK, <sup>(w Kedywie)</sup> ~~KD~~ Oddz. Partyzancki "Zapory". Internowany w Ro-  
sji Sowieckiej. Łagry: Charków, Diagi-  
lewo.

50  
КОП

ОСВОБОЖДЕНИЕ БРАТСКИХ НАРОДОВ

17. IX. 1939



ПОЧТА  
СССР

ЗАП. УКРАИНЫ И ЗАП. БЕЛОРУССИИ



60  
коп

ОСВОБОЖДЕНИЕ БРАТОВЫХ НАРОДОВ

17.IX.1939



ПОЧТА  
СССР

ЗАП. УКРАИНЫ И ЗАП. БЕЛОРУССИИ







ОСВОБОЖДЕНИЕ ВАРТСКИХ НАРОДОВ

17 IX 1939

1  
РУБ

ПОЧТА  
СССР

СМ. УКРАИНЫ И ЗАП. БЕЛОРУССИИ

30 КОСВОБОЖДЕНИЕ ЕРИНСКИХ ИКРОДОВ

17.IX.1959

30  
КОП



ЗАП. УКРАИНА И ЧАСТ. БЕЛОРУССИИ

ПОСТА  
СССР

50  
КОП

ОСВОБОЖДЕНИЕ БРАТСКИХ НАРОДОВ

17.10.1939



ЗАП. УКРАИНЫ И ЗАП. БЕЛОРУССИИ

ПОЧТА  
СССР

1939 41



60  
КОП

ОСВОБОЖДЕНИЕ БРАТОВИХ НАРОДОВ

17. IX 1939



ЗДТ. УКРАИНЫ И ЗДТ. БЕЛОРУССИИ

ПОЧТА  
СССР